



Sylwetka: MONIKA BRZEŻNA

Wyścig ma jeden cel. Zwycięstwo. Czy nasza studentka wygra olimpiadę? ► 46-48

NIEPRZYPADKOWE ŻYCIE

Rektor Roman Kołacz nie tylko o tym, dlaczego nie został lekarzem

► 4-10

WYWIAD: DZIELIĆ SIĘ WIEDZĄ

Doktor Włodzimierz Kita, fitopatolog i mykolog, który wierzy w zasady

► 30-33

DOTKNAŁEM INNEGO ŻYCIA W KAMERUNIE

Profesor Piotr Nowakowski nie tylko o kierunku Podstawy dla rolnictwa tropikalnego

► 38-41

HISTORIA W CIENIU DRZEW

Nowoczesne spojrzenie na fortyfikacje sposobem na rozwój miast

► 42-45

Na okładce:

Monika Brzeźna
(z lewej) z siostrą
podczas jazdy
parami

46-48



TEMAT NUMERU
4-10



Roman Kołacz NIEPRZYPADKOWE ŻYCIE

O swoich buntach, marzeniach, porażkach i sukcesach. Dlaczego nie został ani lekarzem, ani informatykiem, ale wybrał weterynarię?



TEMAT NUMERU
11-13

Tadeusz Trziszka WIZJONER I BIZNESMEN

Od września nowy rektor Uniwersytetu Przyrodniczego. Jak sam żartuje, największy jajojad w Polsce, jest wielbicielem opery i wie, że współczesna nauka nie istnieje bez gospodarki.



TEMAT NUMERU
14-17

Jarosław Bosy JEŚLI PRACA, TO W ZESPOLE

Jako prorektor będzie odpowiadał za naukę i współpracę z zagranicą. Nam opowiada o swoim wkładzie w europejską geodezję i największej miłości jego życia – żonie Beacie.



TEMAT NUMERU
18-21

Anna Chelmońska-Soyta OPĘTANA NAUKĄ

Przyszła prorektor do spraw współpracy z gospodarką, ceniona specjalistka z zakresu immunologii rozrodu, po prostu nie mogła nie zostać naukowcem. Dlaczego?

54-55



Józef Sowiński POZYTYWISTA

W teamie nowego rektora będzie odpowiadał za sprawy studenckie i edukację. Jak wyglądała jego – wcale niełatwa – droga na naukowy szczyt?



TEMAT NUMERU
22-24

Adam Szewczuk W ZGODZIE ZE SOBĄ I Z LUDŹMI

Przyszły prorektor do spraw rozwoju Uniwersytetu Przyrodniczego nie kryje, że kluczem do sukcesu jest praca, systematyczność i ludzie.



TEMAT NUMERU
25-27

Ministerstwo chce mocniej związać naukę z gospodarką CZAS ZMIAN

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego planuje reformy. I zaprasza do współpracy uczelnie. Co chcą zmieniać urzędnicy i naukowcy?

NAUKA I BIZNES
28-29



WYWIAD
30-33

Jaka jest rola naukowców? DZIELIĆ SIĘ WIEDZĄ

WŁODZIMIERZ KITA, fitopatolog, mykolog i pasjonat, o swojej fascynacji światem grzybów i o tym, dlaczego warto się angażować i mieć zasady.



OBYCZAJE
34-37

Plebiscyt Kosa 2016 STUDENT BEZ DWÓI JEST JAK ŻOŁNIERZ BEZ KARABINU, ALE...

Tegoroczną Kosą w plebiscycie studentów Uniwersytetu Przyrodniczego został matematyk ANDRZEJ MICHALSKI. Dlaczego warto być wymagającym nauczycielem, wykładowcą i egzaminatorem?

Piotr Nowakowski DOTKNĄŁEM INNEGO ŻYCIA W KAMERUNIE

W poszukiwaniu kontaktów do rozwoju naszego kierunku Podstawy dla rolnictwa tropikalnego.

OBYCZAJE
38-41



NAUKA I BIZNES
42-45

Nowoczesne spojrzenie na fortyfikacje sposobem na rozwój HISTORIA W CIENIU DRZEW

Architekt krajobrazu ŁUKASZ PARDELA pisze o tym, dlaczego fortyfikacje są szansą na rozwój miast. Kto ma pomysły na wykorzystanie dawnych obiektów wojskowych nie tylko turystycznie?

„Głos Uczelni” – magazyn Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu
ISSN 1233-4790, nr 224/2016, nakład: 1000 + 15 egz.

Wydawca:

Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu

Redaktor prowadząca:

Katarzyna Kaczorowska „Gazeta Wrocławska”

Kontakt do redakcji:

katarzyna.kaczorowska@up.wroc.pl,
dorota.sikora@up.wroc.pl,
martyna.jablonska@up.wroc.pl

Adres redakcji:

Biuro Informacji, Promocji i Rekrutacji UPWr,
ul. Norwida 25, 50-375 Wrocław, tel. 71 320 54 98

Autorzy numeru:

Jolanta Cianciara, Martyna Jabłońska,
Katarzyna Kaczorowska „Gazeta Wrocławska”,
Sylvia Lewandowska, Piotr Nowakowski,
Łukasz Pardela

Fotografie:

Tomasz Holod „Gazeta Wrocławska”,
Tomasz Lewandowski, Łukasz Pardela,
Piotr Nowakowski, Ośrodek Karta, archiwa
prywatne; artykuły „Honor munduru. I miłość
ojczyzny” oraz „Małe wielkie nieszczęścia
potrzebne do szczęścia” ukazały się dzięki
uprzejmości i za zgodą redaktora naczelnego
„Gazety Wrocławskiej” Arkadiusza Franaso

Projekt, skład: Beata Poźniak

Druk: Drukarnia Print Sp.j.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów
i publikacji materiałów w dogodnym czasie.
Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja nie ponosi odpowiedzialności
za treść zamieszczonych reklam.



62-63



38-41

Monika Brzeźna

BEZ ROWERU NIE MA DLA NIEJ ŻYCIA

Studentka inżynierii środowiska, walczy o wyjazd na olimpiadę w Rio de Janeiro. Czy jej się uda? I jak łączy sportową pasję z nauką?

SYLWETKA
46-48



HISTORIA
49-53

Jak powstaniec został weterynarzem HONOR MUNDURU. I MIŁOŚĆ OJCZYZNY

JAROSŁAW GRABIŃSKI, weterynarz i nauczyciel akademicki na Uniwersytecie Przyrodniczym, jest ostatnim we Wrocławiu kadetem lwowskim. Jak po Powstaniu Warszawskim trafił na wrocławską weterynarię?

70-lecie Wydziału Przyrodniczo-Technologicznego WYRÓŻNIENIA, NAGRODY, HONORY

Fotoreportaż z gali jubileuszowej

KRONIKA WYDARZEŃ
54-55



Nie tylko o nowoczesnym rolnictwie DOBRA WSPÓŁPRACA

Międzynarodowe konferencje to nie tylko możliwość wymiany doświadczeń, ale też szansa na rozwój kontaktów, które procentują w przyszłości.

NAUKA
56-57



Hospicjum ma wiele twarzy. Jedną z nich jest Milena Dudek MAŁE NIESZCZĘŚCIA POTRZEBNE DO SZCZĘŚCIA

Od pięciu lat pomagamy wrocławskiemu hospicjum dziecięcemu. Poznajmy dziewczynkę, dla której też zbieramy pieniądze w czasie noworocznej aukcji.

SPOŁECZEŃSTWO
58-61

VII Koncert Noworoczny WARTO BYĆ DOBRYM I HOJNYM

Fotoreportaż z noworocznej aukcji.

KRONIKA WYDARZEŃ
62-63

Listopad 2015-kwiecień 2016 DZIAŁO SIĘ...

Fotoreportaż z życia uczelni

KRONIKA WYDARZEŃ
64-70



SZANOWNI PAŃSTWO,

Protagoras, grecki filozof, którego Perykles zaprosił do współtworzenia konstytucji jednej z nowych kolonii Aten, do historii przeszedł przede wszystkim jako autor słów „Człowiek jest miarą wszechrzeczy”. Do jego poglądów odwoływali się XIX-wieczni pozytywiści, którzy w centrum swoich koncepcji postawili człowieka, jego pracę i służbę społeczności, w której żyje.

Ludzie. W tak chętnie dzisiaj przez wielu przywoływanej nomenklaturze zarządzania – zespół, czy nawet zasób. Tak naprawdę jedyny fundament, na którym budować można trwale i z nadzieją na pokonanie nieuchronnego upływu czasu.

Ludzie. Bez nich nie udałoby się nam osiągnąć niczego, bo przecież każdy pojedynczy pracownik naszej uczelni, jak pojedynczy atom, jest w rzeczywistości częścią całości o nazwie Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu.

Każdy z nas ma plany i marzenia. Stawia sobie cele. Czasem na miarę możliwości, czasem ponad nie. Ale niewielu jest w stanie osiągnąć wiele w pojedynkę, nawet jeśli ma talent i energię lidera. Bo lider do sukcesu potrzebuje zespołu. Dopiero razem mogą zmieniać, ulepszać, konkurować, budować.

To nie są puste słowa czy gładkie komunały. Kiedy cieszymy się ze wzrostu notowań w rankingach, z dumą podkreślamy, że cenią nas za innowacyjność i osiągnięcia naukowe, to przecież wiemy, że za każdym z sukcesów stoją konkretni ludzie i ich ciężka i ofiarna praca, ich ambicje, plany i marzenia.

I dlatego właśnie wszystkim pracownikom Uniwersytetu Przyrodniczego razem i każdemu z osobna chcę podziękować – bo każdy z Was wnosi swój wkład w rozwój naszej Alma Mater. I to dzięki Wam dzisiaj możemy być dumni z nowoczesnej infrastruktury, z odwagi podejmowania wyzwań, jakie stoją przed nami, z energii do zmieniania świata.

Bez Was Uniwersytet Przyrodniczy byłby inny. I ja zapewne też...

Profesor ROMAN KOŁACZ
Rektor Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu

Roman Kołacz: – Każdy ma swoje kamienie milowe.

Ja też

NIEPRZYPADKOWE ŻYCIE

Pochodzi ze wsi Kobylany, rozstawionej w „Krzyżakach” Sienkiewicza. Chciał zostać lekarzem, ale medycyna nie była mu przeznaczona. Twierdzi, że jego życiem rządzi przypadek. Umie wyciągać wnioski z porażek, bywa impulsywny i nie tylko we wrocławskim środowisku akademickim ma opinię wizjonera. ROMAN KOŁACZ kończy drugą kadencję rektora Uniwersytetu Przyrodniczego.

Rektor Akademii Muzycznej we Wrocławiu KRYSZTOF KIEŁB bez wahania mówi: – Roman to wspaniały człowiek. Jestem pewien, że wszyscy będą podkreślać, jak wiele udało mu się zrobić dla uczelni, którą z wielkimi sukcesami kierował przez dwie kadencje, jak wiele zawdzięcza mu środowisko akademickie Wrocławia, ale na mnie wrażenie zrobiło coś jeszcze. Ogromna pasja, z jaką opowiada laikom, takim jak ja, o sprawach, które są jego życiowym powołaniem, a o których niewiele wiemy, czyli o dobrostanie zwierząt.

Kompozytor, który sam ma na koncie udane inwestycje w infrastrukturę swojej Alma Mater, przyznaje, że to od Romana Kołacza dowiedział się, czym jest ów dobrostan, dlaczego jest taki ważny i jak w Polsce zmieniał się stosunek ludzi do zwierząt hodowlanych. Ale zanim do ta-

kich prywatnych wykładów doszło, najpierw były Kobylany.

DOMARAT, CO OBRONIŁ JAGIEŁĘ

Na starych, czarno-białych fotografiach widać szczupłego chłopca o skupionej twarzy. Jedno zdjęcie to pamiątka z I Komunii Świętej, więc chłopiec obowiązkowo stoi między rodzicami chrzestnymi, w ciemnej marynarce i w spodenkach z kantem, ale do kolan. I z gromnicą w ręce. Na innym, z akordeonem większym od niego, patrzy na fotografującego. Dzisiaj tamten chłopiec jest w Komitecie Honorowym obchodów 650-lecia wsi Kobylany, o której pierwsza wzmianka pochodzi z 1366 roku – dokument z 17 sierpnia, podpisany przez króla Kazimierza Wielkiego, potwierdza podział majątku królewskiego kanclerza, arcybi-

skupa Janusza Suchywilka, między jego bratanków. Spośród wielu znamienitych przedstawicieli tego rodu jeden zajął miejsce szczególne – Domarat, kasztelan biecki, wojnicki i lubelski, marszałek nadworny koronny, rycerz znamienity, opisany w kronice Jana Długosza, z przeszłości przywrócony pamięci (i wyobraźni) przez Henryka Sienkiewicza i Jana Matejkę. Bo Domarat walczył pod Tannenbergiem w lipcu 1410 roku własną piersią zasłonił króla Władysława Jagiełłę.

Romek Kołacz jednak w tej wsi sławnej wielkim rycerzem zostać nie chciał.

– Dwa lub trzy razy w dzieciństwie byłem w Krośnie. Miasto – to było marzenie. Zobaczyłem ludzi spacerujących ulicami, ładnie ubranych. Panowie w białych koszulach, panie w kolorowych



Profesor ROMAN KOŁACZ

Wybitny specjalista w dziedzinie higieny i dobrostanu zwierząt oraz ekotoksykologii. Jego dorobek naukowy liczy ponad 300 publikacji, w tym przeszło 130 oryginalnych prac badawczych. W nomenklaturze zootechniczno-weterynaryjnej w Polsce rozpropagował pojęcie dobrostanu zwierząt. Orędownik ochrony zwierząt przed zadawaniem im zbędnego cierpienia i uwzględniania aspektów etycznych w hodowli, transporcie, uśmiercaniu czy eksperymentach biomedycznych. Przez dwie kadencje (2002–2008) pełnił funkcję prorektora ds. współpracy z zagranicą i rozwoju uczelni. W 2008 roku został rektorem Uniwersytetu Przyrodniczego – i był nim przez dwie kadencje. Otrzymał zaszczytny tytuł *doctora honoris causa* dwóch uniwersytetów: Lwowskiego Narodowego Uniwersytetu Medycyny Weterynaryjnej i Biotechnologii we Lwowie oraz Narodowego Uniwersytetu Przyrodniczego w Kijowie.

W okresie jego urzędowania przeprowadzono na uczelni wiele inwestycji z wykorzystaniem funduszy unijnych i środków własnych. To budowa Centrum Nauk o Żywności i Żywieniu dla Wydziału Nauk o Żywności oraz Rolniczego Centrum Wiedzy i Kształcenia Praktycznego, modernizacja zespołu pałacowo-folwarcznego w Pawłowicach i wybudowanie tam nowoczesnego centrum kongresowego, przystosowanie pawłowickiego zespołu parkowego do celów dydaktycznych, budowa Centrum Diagnostyki Eksperymentalnej i Innowacyjnych Technologii Biomedycznych i budowa Centrum Geo-Info-Hydro, nowoczesnego budynku dydaktycznego dla Wydziału Inżynierii Środowiska i Geodezji. Remont i modernizacja gmachu głównego uczelni oraz wielu innych budynków i obiektów uczelni. Wprowadził projakościowy system wynagradzania pracowników naukowych. Za jego kadencji powołano ponad 10 nowych kierunków studiów.

Zainicjował i wprowadził do kalendarza stałych wydarzeń uczelni Noworoczny Koncert Charytatywny i Dni Przyrodników. Był inicjatorem i fundatorem tablic upamiętniających w holu uczelni byłych rektorów i doktorów *honoris causa*, a także tablicy poświęconej pamięci profesorów zamordowanych w 1941 roku na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie. Zainicjował utworzenie Muzeum Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu.

Dwie kadencje Romana Kołacza to również poprawa notowań UPWr w rankingach, m.in. „Perspektyw”. W 2012 roku w ocenie Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu szczególnie znaczący był wzrost liczby punktów procentowych (z 1,5 do 33,58) wskaźnika opisującego preferencje pracodawców (liczba wskazań uczelni w badaniu ankietowym na reprezentatywnej grupie pracodawców przeprowadzonym przez Centrum Badań Marketingowych INDICATOR). Znacząco wzrosła również liczba punktów za efektywność pozyskiwania środków zewnętrznych na badania, za nadane przez uczelnię stopnie i tytuły naukowe, a także udział w 7. Programie Ramowym oraz cytowania i uprawnienia habilitacyjne.

W roku 2015, w tym samym rankingu, wśród uczelni rolniczych UPWr zajęły trzecie miejsce – za Szkołą Główną Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie i Uniwersytetem Przyrodniczym w Poznaniu.

W latach 2012–2014 był przewodniczącym Kolegium Rektorów Uczelni Wrocławia i Opola. W tym okresie zainicjował wspólną inaugurację roku akademickiego uczelni Wrocławia. Inicjator i gorący zwolennik integracji wrocławskich uczelni.

Żonaty, ma trzech dorosłych synów, dwóch wnuków i wnuczkę. Interesuje się polityką, kocha teatr i jazz, a zimą przynajmniej jeden tydzień stara się wygospodarować na narty.

*Roman Kołacz akordeonistą nie został.
Wybrał miasto i studia w Wyższej Szkole
Rolniczej we Wrocławiu. To na studiach się
zakochał w dziewczynie poznanej na dobie
wankowym. I to wanka stała się jego przyszłością*



sukienkach. Czysto, pachnąco. To niewielkie przecież Krosno sprawiło, że chciałem wyrwać się ze wsi – przynajmniej Roman Kołacz, którego droga ze wsi do miasta wcale taka prosta nie była.

Kiedy kończył szkołę podstawową, rodzice debatowali, gdzie powinien uczyć się dalej. Byli biedni i niewykształceni, ale mieli tę świadomość, że jedyną drogą, aby los ich dzieci był lepszy od nich, było dać im wykształcenie. Może technikum? Zawód chłopak by miał, a wiadomo, zawód dla chłopca to podstawa. Mama oczywiście chciała, żeby został księdzem. Był wzorowym ministrantem przez całą szkołę podstawową, a ministrantury po łacinie nauczył go brat matki jeszcze przed pójściem do szkoły. A on się zastanawiał nad Technikum Geodezyjnym w Jarosławiu. Ale do Kobylan przyjechał kuzyn, pierwszy w rodzinie, który skończył studia, i tłumaczył: – Przecież to dzieciak jeszcze. Co on wie o sobie i o tym, co chce zrobić

w życiu? Niech idzie do liceum. Te cztery lata go ukształtują i będzie miał większą możliwość wyboru. I wtedy, w tych przypadkach-nieprzypadkach, które rządzą życiem Romana Kołacza, pojawiło się bezdzielne wujostwo z Nysy.

– Zaproponowali, że dadzą mi wikt, opierunek i pójdę do Carolinum, słynnego nyskiego ogólniaka, należało wcześniej zdać egzamin. Tę przeszkodę pokonał. To była świetna szkoła, z wybitnymi pedagogami, wykształconymi jeszcze przed wojną. Łacinnik, historyk, biologika. Wychowawczynię i szanowaliśmy, i baliśmy się jej. W szkole obowiązywał regulamin, i to traktowany naprawdę poważnie. Jeśli wychowawczyni spotkała kogoś z nas po godzinie 20 na mieście, wiadomo było, że rodzice dostaną wezwanie do szkoły – opowiada Roman Kołacz i uśmiecha się, bo swoją miłość do sztuki zawdzięcza innej nauczycielce, polonistce. Młoda dziewczyna po studiach, już mężatka, ale i tak kochała się

w niej chyba cała klasa kolegów, zabierała ich do Teatru Starego w Krakowie i do opery we Wrocławiu. I nawet z najnudniejszej lektury potrafiła wykrzesać iskry, by pokazać nastolatkom, że są ideały, w które warto wierzyć. To ta literatura okresu romantyzmu, a następnie bohaterowie Żeromskiego, Dąbrowskiej czy Orzeszkowej oraz własne doświadczenia życiowe kształtowały jego socjalistyczną wrażliwość na los biednego człowieka, niesprawiedliwość społeczną i całkowitą niezależność Polski od obcego mocarstwa. Mówiąc o socjalistycznej wrażliwości w tym młodzieńczym okresie, rektor Kołacz przytacza znane powiedzenie Józefa Piłsudskiego „Kto nie był socjalistą za młodu, ten na starość będzie sk.....m”.

Profesor KAROLINIE CZAI rektor Roman Kołacz podziękował szczególnie w tym roku na Koncercie Noworocznym, gdy nie kryjąc wzruszenia, witał gości, mówiąc: – Moja misja jako rektora

dobiega końca, mam jednak nadzieję, więcej, mam pewność, że koncerty charytatywne, które zainicjowałem 7 lat temu, będą kontynuowane.

BY BYLI DUMNI

Przyznaje, że kiedy patrzył na swoje własne dzieci, to nie mógł uwierzyć, że on swoje życie wziął w swoje ręce, mając zaledwie 14 lat.

– Wujostwo uznawało, że jestem odpowiedzialny. A ja w tej Nysie miałem kolegów, którzy zeszli na złą drogę. Jeden nawet trafił do kryminału za morderstwo – rektor Kołacz kiwa głową z niedowierzaniem, ale po chwili przyznaje, że jego aniołem stróżem był... strach. Bo kiedy w niedzielę wychodzili rano z kolegami do kościoła, to on naprawdę szedł na mszę, a oni na forty, zapalić podkradzione dorosłym papierosy.

– Nie wyobrażałem sobie, że mogę zrobić coś, co przyniesie wstyd rodzicom. Drętwiałem na samą myśl o tym, że mógłbym ich zawieść, rozczarować. I dzisiaj czasem mi żal, że już nie ma ich przy mnie, że nie widzę radości, jaką czuliby, obserwując, jak daleko od naszych rodzinnych Kobylan odszedłem – mówi Roman Kołacz i nawet nie kryje, że niemalże wszystko, co w życiu robił, robił po to, by rodzice czuli dumę, że go dobrze wychowali.

Po maturze marzył o medycynie, ale nie wierzył w swoje szanse, wybrał chemię na politechnice. Zdał, ale zabrakło mu punktów. Żeby nie trafić w kamasze, bo przecież przez wojsko musiał przejść każdy, dostał się do policealnego studium – w dwa lata zdobył wykształcenie technika obsługi systemów informatycznych. Od ręki miał nawet pracę we wrocławskim ZETO, ale dzisiaj śmieje się, mówiąc: – Tylko proszę mnie nie pytać o szczegóły, bo na inżyniera się nie nadawałem i nie nadaję. Nie pociągały mnie ani elektronika, ani elektrotechnika.

Z tego braku pociągu zaczęła się w nim kluczyć nowa myśl – a może weterynaria? Do Kobylan, również do gospodarstwa rodziców, przyjeżdżał doktor. Sympatyczny, budzący powszechny szacunek, życzliwy. Może takim weterynarzem mógłby zostać? Nawet na wsi pracować, choć przecież

chciał z niej uciec w daleki świat, do miasta.

– Dostałem się na medycynę weterynaryjną od razu. I niemalże od razu zrozumiałem, że kiepski byłby ze mnie lekarz medycyny – na zajęciach z anatomii, kiedy uczyliśmy się na martwych zwierzętach, uświadomiłem sobie, że nie mógłbym tak grzebać w ludzkich zwłokach, czułem swoistego rodzaju odrazę. Czym innym była nauka z kośćmi czy preparatami zwierzęcymi, z którymi prawie spaliśmy w akademiku. Na medycynę natomiast namówiłem moją młodszą siostrę, która jest w Krośnie świetnym pediatrą. Ojciec był trochę rozczarowany, że nikt nie chce zostać na tym 3-hektarowym gospodarstwie, ale wiem również, że byli rodzice szczęśliwi i dumni z tego, co udało nam się osiągnąć – mówi Roman Kołacz.

PORA BUNTU

Pierwszą próbę przeszedł w marcu 1968 roku. Był na pierwszym roku studiów, ale był też i o dwa lata starszy od większości kolegów.

Protesty zaczęły się w początkach 1968 roku. 16 stycznia poinformowano, że „Dziady” w reżyserii Kazimierza Dejmka, których premiera miała miejsce 25 listopada i uświetniła obchody 50-lecia rewolucji październikowej, zostaną zdjęte z afisza. Ostatnie przedstawienie miało się odbyć 30 stycznia.

Legenda głosi, że w sprawie „Dziadów” osobiście interweniował ambasador radziecki Awierkij Aristow, ale w świetle dzisiejszego stanu badań nie ma na to żadnych dowodów. Więcej – „Dziady” Dejmka miały bardzo dobrą recenzję w moskiewskiej „Prawdzie”, a spektakl

zamierzano pokazywać w Związku Radzieckim.

Nie wiedzieli o tym studenci, którzy tłumnie stawili się na ostatnim spektaklu 30 stycznia – nie wiedzieli też, że po czterech pierwszych przedstawieniach poinformowano Dejmka, że „Dziady” mogą być grane tylko raz w tygodniu, młodzieży szkolnej nie można sprzedawać więcej niż 100 biletów po cenach normalnych, reżyser ma odnotowywać reakcje publiczności, a pretekstem do tych obostrzeń było rzekome wznoszenie przez publiczność hasła antyrosyjskich oraz antyradzieckich.

Po tym ostatnim przedstawieniu rozmocjonowana widownia skandowała hasło wymyślone przez Karola Modzelewskiego „Niepodległość bez cenzury!”, a po wyjściu z teatru pomaszerowała prosto pod pomnik Adama Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu. Grupę około 300 osób rozpendziła milicja, zatrzymano około 35 protestujących, dziewięciu z nich postawiono przed kolegium.

Przywódcy ruchu studenckiego podjęli 22 lutego decyzję o zorganizowaniu wieceu w obronie studentów usuniętych z uczelni. Wybrali 8 marca. We Wrocławiu strajk solidarnościowy z Warszawą zaczął się 14 marca – ale pierwszy wiec odbył się już trzy dni po warszawskim buncie, 12 marca.

– Nie pamiętam, jak dotarło do nas, że wszyscy schodzimy się w auli na Politechnice Wrocławskiej. Tam były już tłumy, ludzie nie mieścili się w sali. Ustalono, że wracamy na swoje macierzyste uczelnie i tam organizujemy protesty – mówi Roman Kołacz, który zapamiętał z tamtych burzliwych dni



piosenkę, śpiewaną przez studentów Wyższej Szkoły Rolniczej:

„Prawdy dajcie nam żakom
nam żakom, nam studentom biedakom
bo jak prawdy nie będzie,
wiec przedłużyć trza będzie
bum tarara w łeb Moczara”

– kpiącą z wszechwładnego Mieczysława Moczara, przywódcy nacjonalistycznej frakcji „partyzantów” w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Po powrocie z politechniki studenci WSR zebrali się w największej sali budynku uczelni przy Norwida. Przychodzili do nich profesorowie z wykładami, m.in. ALFRED SENZE z weterynarii i STANISŁAW KOWALIŃSKI z gleboznawstwa. Student pierwszego roku weterynarii Roman Kołacz zapamiętał wykład prof. HENRYKA BALBIERZA, który mówił o freemartynizmie – bezpłodności samicy

DEKALOG MISTRZA, CZYLI ZASADY, KTÓRYMI KIERUJE SIĘ ROMAN KOŁACZ

1 Trzeba mieć wizję,
ale strategia to nie biblia.

2 Dobry lider otacza się
mądrymi ludźmi.

Nie wystarczy wspólnota wizji. 3

4 Sam system motywacji to mało.

Przywódtwo to relacje z ludźmi. 5

6 Mądry kierowca nie wymusza
pierwszeństwa.

7 Odwaga mówienia NIE.

Dobry menedżer
jest twarzą swojej firmy. 8

9 Etyka niezbędna,
savoir vivre przydatny.

Nie ma wyłączeń od zasad, bo te dziewięć zasad, które ukształtowały mnie jako lidera, którymi staram się kierować, nie mają podtytułu: „W pracy”. Są ważne w życiu, także osobistym, prywatnym. Wystarczy zamiast określenia lider, menedżer wpisać: ojciec, mąż, sąsiad, przyjaciel, zamiast współpracownicy: bliscy, przyjaciele, ludzie...

10

pochodzącej z ciąży bliźniaczej różnoplciowej.

– Te wykłady były dobrane tak, by wszyscy mogli z nich skorzystać, bo od razu ustalono, że strajk połączony będzie z nauką, choć, oczywiście, nie zabrakło też studenckich śpiewów i różnych innych występów. Pamiętam, że profesorowie wspierali nasze morale, ktoś zadbał o opiekę duszpasterską, bo przy Norwida pojawili się księża. Jacyś ludzie z zewnątrz, z miasta, przynosili nam jedzenie, a koledzy zbierali bloczki i donosili obiady ze stołówki studenckiej – wspomina Roman Kołacz i przyznaje, że nawet pojawili się jacyś przedstawiciele tzw. załóg robotniczych, ale dwudniowy strajk nie przerodził się w wielki narodowy bunt.

– Po dwóch dniach zapadła decyzja, że się rozchodzimy do domów. To była sobota. Mój kolega, też student weterynarii, ADAM MARCINIAK, obecnie od ponad 20 lat wójt gminy Człuchów, przemawiał łamiącym się głosem, żebyśmy się nie poddawali. Rozpłakał się. A ja z kolegą poszliśmy do stołówki na obiad z autentycznym kaczem moralnym, że to wszystko tak się kończy – przyznaje Roman Kołacz, dla którego tamte wydarzenia z marca 1968 roku były prawdziwą lekcją historii, patriotyzmu i wewnętrznego buntu przeciwko władzy, która łamie prawa obywateli.

DORASTANIE DO RZECZYWISTOŚCI

Kiedy otrząsnęli się z marcowego szoku, zaczęło się normalne życie. Egzamiны (najlepiej mu szły te najtrudniejsze) zdawał w pierwszym terminie. Mieszkał w akademiku Centaur, gdzie mieszkali wszyscy studenci weterynarii i sam już nawet nie pamięta jak, ale został zastępcą kierownika klubu studenckiego do spraw kultury. Ten klub to słynne nie tylko we Wrocławiu Katakumby, gdzie Kołacz dwoił się i troił, zapewniając studentom możliwość realizowania się jako malarze, rzeźbiarze czy kabareciarze.

– Mieliśmy świetny kabaret Ciaptak. Założył go kolega, z którym mieszkalem od trzeciego roku – FRANIU KOBYLAŃSKI, który trzy razy, bez skutku, próbował dostać się do łódzkiej filmówki i gdzieś musiał realizować swoje artystyczne pasje. Oczywiście, teksty piose-

nek były też polityczne. Pamiętam, jak trzeba było je zanosić do cenzora do akceptacji, ale kilku, w tym jednego o budowie pomników, nie zauważył, a może zauważyć nie chciał – opowiada rektor, który za to artystyczne kierowanie klubem odbierał nagrodę Czerwonej Róży, przyznawaną najlepszym klubom studenckim w ogólnopolskim konkursie i wręczaną w Krakowie. – Wygrywalismy w kategorii małych klubów, a dla mnie każdy z tych wyjazdów do Krakowa był wyjątkowy. Poznawałem Piwnicę pod Baranami, klub Jaszczury i miałem okazję spotykać się wtedy jeszcze z moją sympatią, a obecną żoną, która studiowała w Krakowie. Chłonałem inny świat, poznawałem wspaniałych ludzi spoza środowiska uczelnianego, udało nam się ściągnąć do klubu – przy okazji koncertu we Wrocławiu – CZESŁAWA NIEMENA – uśmiecha się Roman Kołacz i dodaje, że z działalnością studenckiego kaowca łączyły się też wpadki. Jego wielką, przynajmniej tak mu się wtedy wydawało, porażką było spotkanie z EDWARDEM LUBASZENKĄ.

W Teatrze Współczesnym we Wrocławiu triumfy święciła sztuka „Paternoster” Helmuta Kajzara z Edwardem Linde-Lubaszanką. Świetne recenzje w gazetach, kolejki po bilety. Żeby nie było – poszedł i sam obejrzał. I wymarzyło mu się spotkanie z aktorem – dla studentów.

– Panu Lubaszence pasowała niedziela, między 15 a 16. A ja na jakiś kwadrans przed spotkaniem zorientowałem się, że nikogo nie mam na widowni. Przeżyłem wtedy horror. Biegałem po całym akademiku, błagałem kogo tylko spotkałem, żeby przyszli. Było mi tak okropnie wstyd, ale mój gość, jak tylko się pojawił, powiedział, że bym się nie przejmował – Kołaczowi do dzisiaj na pamiątkę tego niezbyt udanego spotkania została niechęć do pompy, oficjalnych ceremoniałów, kiedy mówca widzi, jak po kilku minutach goście zaczynają się wiercić, sprawdzać telefony, dyskretnie ziewać... I jakby było mało – przed każdym koncertem noworocznym najbardziej zawsze obawiał się wolnych miejsc na sali.

Działalność w Katakumbach była małym epizodem w jego działalności studenckiej. Głównie był zaangażowany w sądownictwie koleżeńskim ZSP, gdzie najpierw był przewodniczącym sądu

uczelnianego, a następnie wiceprzewodniczącym sądu okręgowego.

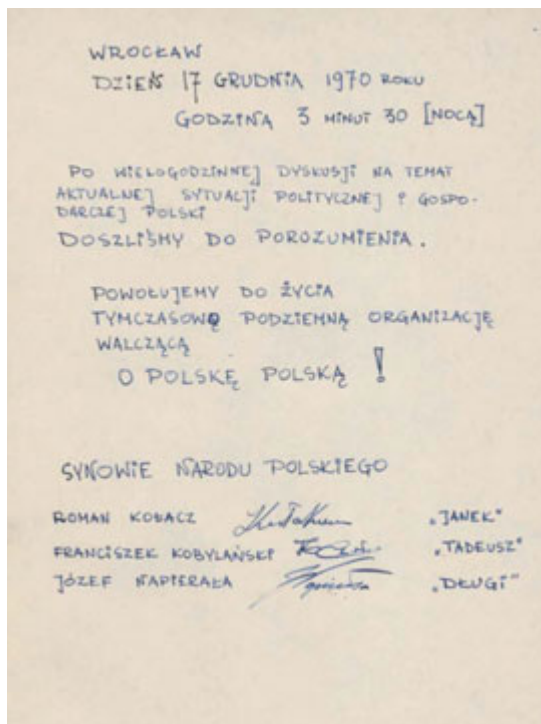
– Byliśmy poważnie traktowani przez władze uczelni – mówi prof. Kołacz. – Nasze orzeczenia były honorowane. Mieliśmy umowę z rektorem, że student może być tylko raz ukarany, albo sądem koleżeńskim, albo komisją dyscyplinarną. I dlatego zawsze orzekaliśmy pierwsi, by nie dopuszczać do komisji dyscyplinarnej. Nasze kary były mniej dotkliwe, bo nie materialne, jak na przykład pozbawienie stypendium mieszkaniowego lub akademika. Ale też zajmowaliśmy się trudnymi sprawami. Któregoś razu wnioskowaliśmy do komisji dyscyplinarnej w sprawie mojego kolegi z roku o wilczy bilet za kradzież stypendium koleżance, która siedziała obok niego na wykładzie. Ta historia trafiła nawet do programu telewizyjnego – wspomina rektor Kołacz i dodaje, że rozprawy były prowadzone bardzo poważnie i zgodnie z zasadami sądowniczymi. A niektóre gromadziły pełną salę telewizyjną w akademiku, specjalnie zajmowaną na obrady. Bywały też sprawy tak pikantne, że rozprawy musieliśmy prowadzić przy drzwiach zamkniętych. Dzisiaj Roman Kołacz spotyka się nieraz z kolegami, którzy byli wtedy jego podsądnymi, i z uśmiechem wspominają tamte czasy, tym bardziej że niektórzy są profesorami na wielu uczelniach w Polsce.

– Mieszkaliśmy w akademiku zgraną paczką. I tak jak moim wejściem w dorosłość był marzec 1968 roku, tak drugim krokiem były wydarzenia grudniowe 1970. Nie umieliśmy sobie z tym poradzić. I 17 grudnia napisaliśmy w trójkę w pokoju odezwę, takie zobowiązanie. Chyba chcieliśmy nawet przypieczętować je własną krwią – Roman Kołacz obiecuje, że jak tylko znajdzie w domowych archiwach tę odezwę, to oczywiście ją prześle.

No i jest. Spisana o godzinie 3.30 w nocy.

„Po wielogodzinnej dyskusji na temat aktualnej sytuacji politycznej i gospodarczej Polski doszliśmy do porozumienia. Powołujemy do życia tymczasową podziemną organizację walczącą o Polskę polską!”.

Podpisali ją „synowie narodu polskiego” Roman Kołacz, który w tej sytuacji przyjął pseudonim „Janek”, FRANCISZEK KOBYLAŃSKI – „Tadeusz” i JÓZEF NAPIERAŁA – „Długi”.



– To była długa i burzliwa noc. Obiecaliśmy sobie wtedy, że żaden z nas nie zapisze się do partii. I chyba rzeczywiście chcieliśmy nawet walczyć z systemem. Nasze plany szybko zderzyły się z życiem, bo jeden z kolegów po kilku latach zapisał się do PZPR, choć teraz jest zwolennikiem obecnej koalicji. Dorosliśmy, ale gdzieś w środku pozostało w nas przekonanie, że bez wartości przepadniemy. Że honor i ojczyzna znaczą naprawdę wiele, a Polskę można zmieniać codzienną pracą. Kto wie zresztą, czy to nie lepsza droga, bo i zmiana trwalsza – zastanawia się głośno Roman Kołacz.

PRZYPADK CZY UPÓR

Kiedy do studentów weterynarii przyjechał lekarz wojewódzki z Zielonej Góry, by namawiać ich do fundowanych stypendiów – praca w ówczesnym województwie zielonogórskim czekała, wystarczyło brać – wziął głęboki oddech, po czym na chybił trafił postawił palec na kartce. Koźuchów. To tutaj miał rozpocząć pracę po studiach. Niewielkie

miasteczko, w którym zresztą do dzisiaj nie był, a szkoda, bo to lubuskie Carcassonne, nazywane tak dzięki wspaniałemu zachowanemu murom obronnym i starówce, z okolicą zachwycającą wspaniałą przyrodą i zabytkami.

– Już się szykowałem do tego Koźuchowa, ale ojciec mojego przyjaciela z roku był Wojewódzkim Lekarzem Weterynarii w Kaliszu. I zaczął mnie przekonywać, że lepszy wojewódzki wtedy Kalisz niż maleńki Koźuchów – wspomina rektor, który pojechał do Zielonej Góry na negocjacje. Najpierw usłyszał „z niewolnika nie ma pracownika” i już szykował się do wyprowadzki, potem jednak coś się zmieniło i okazało się, że albo Koźuchów, albo musi spłacić stypendium.

– Zagrała ambicja. Uparłem się, że mowy nie ma o Koźuchowie. I wtedy w moje życie wtrącił się kolejny przypadek. Szyłem garnitur na absolutorium. I będąc u przymiarki, spotkałem profesora CENĘ, którego poznałem rok wcześniej na obozie naukowym. Zaczął wypytywać „a co u pana, panie kolego?”. A kiedy mu powiedziałem, jaki mam kłopot, zdecydowałem, że bym przyszedł do niego do Katedry Zoohigieny na Wydziale Zootechnicznym, bo potrzebuje weterynarza. Taki obrót sprawy zaś decydował o tym, że nie będę musiał spłacać stypendium – uśmiecha się rektor, dla którego profesor Cena był jednym z mistrzów. Bo zawsze powtarzał „wy młodzi, nie macie czasu, czas to mam ja”, przypominając, że na wszystko jest odpowiedni moment, który trzeba wykorzystać. Na doktorat, naukę języka, zagraniczny wyjazd.

– Był też osobą głęboko duchową. Chodziliśmy na wykłady, jakie miał w różnych wrocławskich kościołach, wiedziliśmy, że jest zaangażowany w Ruch Odnowy w Duchu Świętym. A drugim człowiekiem, który był moim promotorem, był prof. GRZEGORZAK. Cena mówił „ja się z panem umawiam na doktorat”, a Grzegorzak wymagał i nie odpuszczał, ale też dawał dużą swobodę – przyznaje rektor, który dzisiaj sam powtarza studentom i młodszym kolegom,



że oni też czasu nie mają i muszą się spieszyć, by zdążyć pokonać wszystkie schody, jakie się przed nimi piętrzą.

– Oprócz dobrych mistrzów, dobry los sprawił, że przypadło mi współpracować z moim przyjacielem ZBYSZKIEM DOBRZAŃSKIM, obecnie profesorem i moim bezpośrednim szefem, wspaniałym, szlachetnym i dobrym człowiekiem. Każdemu życzę takiego szefa. Do mojej Katedry przychodzi się z przyjemnością, a światła w gabinetach palą się najdłużej, pracuje się tam nocami – mówi rektor i po dłuższej chwili dodaje, że po raz kolejny przypadek zdecydował o jego miejscu w życiu, kiedy już doktorat obronił. Bo niewiele brakowało, a wywędrowałby z Wrocławia. Był już nawet gotowy przeprowadzić się na wieś i zostać tam weterynarzem (– żona jest z Małopolski i chciała tam wrócić), pojawiła się też propozycja pracy w Olsztynie na nowo organizowanym wydziale weterynaryjnym, ale koniec końców los zdecydował, że jednak Wrocław pozostanie jego miejscem na ziemi. – Tu z żoną wykupiliśmy już nawet miejsce na cmentarzu na nasze urny. Wspaniałe miejsce. Pod brzozą. Z dobrym widokiem – uśmiechając się, dodaje prof. Kołacz, który przyznaje, że tak jak owo miejsce jest wybrane, tak zawsze będzie powtarzał, że w jego życiu o ważnych decyzjach jednak decydowały przypadki. – Już mówiłem, że tych przypadków w moim życiu było więcej.

Pamiętam swoją praktykę po II roku. Poznałem wtedy dziewczynę i zakochałem się, wydawało mi się, że już na zawsze, ale prof. Cena zażyczył sobie, abym przerwał praktykę i natychmiast pojechał wraz z nim i innymi kolegami na obóz naukowy w Nowosądeckie. Tak też zrobiłem i tam poznałem swoją żonę. Ta pierwsza młodzieńcza miłość z praktyki wyparowała mi z głowy i wiedziałem, że tylko MARIA jest tą dziewczyną, z którą chcę iść przez życie – przyznaje Roman Kołacz, który dzisiaj jest dumnym dziadkiem, a o synach mówi w samych superlatywach.

NIE TYLKO DOBROSTAN

Dobrostanem zwierząt zajął się, bo – jak żartuje – nikt się tym naukowo zająć nie chciał. Chociaż tak naprawdę większość prac, jakie wykonywane były w Katedrze, dotyczyła dobrostanu zwierząt, tego pojęcia nie używano. Dopiero w 1998 na konferencji w Akademii Rolniczej w Krakowie Roman Kołacz wygłosił plenarny referat „Dobrostan zwierząt a ustawodawstwo europejskie”, a w 1999 roku wraz z koleżanką z pracy EWĄ BODAK opublikował w najlepszym wtedy fachowym czasopiśmie, jakim jest „Medycyna Weterynaryjna”, pracę pt. „Dobrostan zwierząt i kryteria jego oceny”. Od tego czasu zaczął być zapraszany na liczne wykłady, szkolenia, konferencje, zarówno dla lekarzy weterynarii, jak i hodowców zwierząt. Zjechał ca-

łą Polskę wzdłuż i wszerz, szkoląc, tłumacząc, przekonując nie tylko weterynarzy, dlaczego to, w jakich warunkach hoduje się zwierzę, jest tak ważne. I właśnie za to propagowanie zasad dobrostanu w hodowli zwierząt otrzymał ostatnio prestiżową nagrodę Złotego Chirona, przyznaną przez Krajową Radę Izby Lekarsko-Weterynaryjnej.

– O dobrostanie może opowiadać godzinami, i to opowiadać ciekawie, nie nudząc rozmówcy. Ale jest równie świetnym partnerem do dyskusji politycznej czy dotyczącej kultury. I co tu kryć, ja go prostu bardzo cenię i lubię jako człowieka, a nie tylko jako rektora – przyznaje Krystian Kiełb. A KRZYSZTOF WRONECKI, kardiochirurg dziecięcy i rotarianin, stały gość Koncertów Noworocznych na Uniwersytecie Przyrodniczym, których pomysłodawcą jest Roman Kołacz, mówi krótko: – Wizjoner. Ja naprawdę pamiętam Wyższą Szkołę Rolniczą i widzę, jak dzisiaj wygląda Uniwersytet Przyrodniczy. To oczywiście dzieło wielu rektorów, wielu pokoleń, ale Roman umiał wykorzystywać zastrzyk unijnych pieniędzy, i to widać gołym okiem. A prywatnie cenię go szczególnie za koncerty charytatywne. Zaangażował się w coś, co ani nie jest celem uczelni, ani jej powołaniem. I pokazuje, że wartości, nawet jeśli czasem z nich żartujemy, naprawdę są ważne.

Mówiąc o wartościach, profesor Kołacz podkreśla, że dla niego najważniejsze jest poszanowanie godności każdego człowieka, bez względu na jego narodowość, kolor skóry, religię czy pozycję społeczną. Wielokrotnie publicznie dawał temu wyraz w wypowiedziach prasowych czy bezpośrednich akcjach protestacyjnych przeciwko nacjonalizmowi, ksenofobii, antysemityzmowi czy rasizmowi.

– To z Kościoła wyniosłem – podkreśla rektor – zasadę „miłuj bliźniego swego...”. Jestem tolerancyjny, ale w ograniczonym zakresie – mówi i od razu wyjaśnia: – To znaczy, że nie toleruję chamstwa, głupoty, pazerności na pieniądze i pazerności na władzę za wszelką cenę. Nie toleruję oportunistów, braku kultury osobistej i tej akademickiej, braku lojalności i zwykłej uczciwości. I nie toleruję bylejakości. •

Od października uczelnią kierować będzie profesor Tadeusz Trziszka

WIZJONER I BIZNESMEN

Na pytanie, dlaczego został naukowcem, prof. TRZISZKA odpowiada krótko: – Zawsze lubiłem się uczyć, a zawód naukowca wydał mi się bardzo pociągający i z perspektywy lat mogę dzisiaj w pełni świadomie powiedzieć, że nie pomyliłem się w swoich młodzińskich ocenach.

Specjalista z zakresu technologii żywności i żywienia człowieka dociekania naukowe skupił na jajach. Żartuje z siebie, że jest jajojadem i dziennie zjada trzy jaja – zwykle na śniadanie. Ale już na poważnie tłumaczy znaczenie projektu OVOCURA, którym kierował: – Spodziewaliśmy się, że badania przyniosą ciekawe wyniki, ale one przekroczyły nasze oczekiwania. Okazało się, że natura jest zdolna do wszystkiego: może dać życie i chronić życie, także od chorób cywilizacyjnych – mówi. I wylicza: w białku jaj są substancje mające znaczenie w regulacji ciśnienia krwi, czynniki niszczące bakterie i wirusy. Jest w jajach cystatyna, która może mieć zastosowanie w walce z chorobami otępiennymi mózgu i nowotworowymi. W żółtku są substancje, które np. w zakażeniach przewodu pokarmowego mogą zastępować terapię an-

tybiotykową, w tym fosfolipidy, które nie występują w żadnych roślinach. I co jest ważne: potrafimy wykorzystać poszczególne składniki jaj do produkcji suplementów diety czy preparatów leczniczych. W tym jednym projekcie badawczym uzyskaliśmy 28 patentów.

* * *

Projekt OVOCURA, zakończony w części badawczej, teraz na etapie wdrożeniowym, idealnie wpisuje się w nadrzędną koncepcję działań, w wizję prof. Trziszki. Rektor kładzie w niej nacisk na spójność pojęć: człowiek–żywność–zdrowie. I dlatego angażuje się w starania, by produkcja żywności stała się inteligentną specjalizacją i regionu, i Polski. Przekonuje decydentów, polityków, ekspertów, że zdrowie publiczne to żywność. Bo nowa żywność, której poszukuje świat, to żyw-

ność wysokiej jakości i żywność lecznicza. Obie jesteśmy w stanie w Polsce wytwarzać – uważa profesor. I nie ma wątpliwości, że jego uczelnia, najważniejsze po jego domu miejsce na świecie – odegra w tym w najbliższych latach niepoślednią rolę.

Profesor Trziszka potrafi do swojej wizji przekonywać. To dzięki jego determinacji Uniwersytet Przyrodniczy został członkiem potężnego międzynarodowego konsorcjum zrzeszającego uczelnie wyższe i koncerny branży żywnościowej ze Skandynawii, Beneluksu, Francji, Hiszpanii, Włoch. Konsorcjum ubiega się o kierowanie w UE poszukiwaniami żywności przyszłości, ale niezależnie od tego – udział UPWr w tym gronie już otwiera niesamowite możliwości współpracy. Koncerny – partnerzy UPWr w tym konsorcjum – dysponują



Profesor TADEUSZ TRZISZKA

Zootechnik, technolog żywności i żywienia, nauczyciel akademicki, profesor nauk rolniczych i rektor Uniwersytetu Przyrodniczego w kadencji 2016–2020.

Absolwent Technikum Rolniczego w Bożkowie (1967), po którym podjął studia na Wydziale Zootechnicznym Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu, od 2006 roku Uniwersytetu Przyrodniczego. Doktoryzował się w zakresie nauk rolniczych w 1977 roku na Wydziale Technologii Żywności wrocławskiej AR w oparciu o pracę pt. „Zmiany w strukturze błony witelinowej jaj kurzych pochodzących z różnych okresów chłodniczego przechowywania”. Jego rozprawa habilitacyjna dotyczyła fizykochemicznej i technologicznej charakterystyki pian z białka jaja. W 1994 roku otrzymał tytuł profesora nauk rolniczych.

Specjalizuje się w zagadnieniach z zakresu technologii drobiu i jaj, w tym projektowania i technologii procesowych w przemyśle jajczarskim. Zajmuje się badaniem bioaktywnych substancji pozyskiwanych z jaj do celów biomedycznych.

W latach 1996–2002 pełnił funkcję prorektora ds. współpracy z zagranicą i rozwoju uczelni, w 2012 został prorektorem ds. nauki i innowacji.

Był również pracownikiem naukowym Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Maszyn dla Przemysłu Mięsnego i przewodniczącym rady naukowej tej instytucji. Powołany m.in. w skład Komitetu Nauk o Żywności Polskiej Akademii Nauk. Członek m.in. World's Poultry Science Association, Polskiego Towarzystwa Technologów Żywności, Polskiego Towarzystwa Zootechnicznego oraz Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego.

rocznymi budżetami od kilku do 60 miliardów euro. Uczelnie, które nam tam partnerują, mają budżety 600–700 milionów, do miliarda. UPWr ma roczny budżet w wysokości ok. 50 mln euro. – Tamte uczelnie nie są większe od UPWr. Różnica wynika z tego, że one funkcjonują w systemie transferu wiedzy uczelnia–gospodarka. Uniwersytet jest w krajach rozwiniętych częścią gospodarki, i to częścią wiodącą – i to jest cel rektora Trziszki: wprowadzić Uniwersytet Przyrodniczy na ten poziom funkcjonowania.

Nowy rektor Uniwersytetu Przyrodniczego podkreśla, że w życiu najważniejszymi dla niego wartościami zawsze były i są uczciwość, szacunek do drugiego człowieka. – I pokora. Bez względu na to, jakie odniosło się sukcesy, nie można wywyższać się nad innych – mówi prof. Tadeusz Trziszka.

Skromny, wyraźnie nastawiony na poszukiwanie kompromisów, uprzejmy w stosunku do każdego – Tadeusz Trziszka nie wpisuje się w wyobrażenia o menedżerach – twardych graczach. A przecież to ten sam człowiek, właściciel kilku patentów, jest twórcą dużego klastra NutriBiomed, który cały czas nieźle sobie radzi, mimo że nie jest łatwo pogodzić interesy tworzących go 50 podmiotów. Zresztą trudno byłoby wyliczyć wszystkie aktywności profesora, instytucje i organizacje, dla których pracuje.

Nie wyobraża sobie życia bez pracy, bo nawet odpoczywa, pracując. – Kiedy nagromadzi mi się dużo spraw administracyjnych, które są bardzo absorbujące, odpoczywam, przygotowując wykłady czy czytając publikacje naukowe. I odwrotnie: wysiłek włożony w pracę badawczą czy dydaktyczną zmniejszam pracą w biurze. Cóż, po prostu nie mogę robić cały czas tego samego – śmieje się prof. Trziszka i po chwili przyznaje, że ma kłopot z... wakacjami. Bo *dolce far niente* trwa u niego tydzień, a po tygodniu już nie wytrzymuje beztroskiego lenistwa. Wtedy sięga po komputer, który zawsze zabiera ze sobą na każdy wyjazd i... pracując, odpoczywa.

– Dlatego też nie chodzę już na węgry. A przyznam, że żałuję, bo jako student

praktycznie co tydzień byłem w operze czy filharmonii. Kocham muzykę klasyczną, uwielbiam operę. Ale dzisiaj po prostu nie mam na tę miłość zbyt wiele czasu – mówi z nutką żalu w głosie nowo wybrany rektor, który jednak przyznaje, że ten kradziony nauce czas chętnie przeznaczyna na czytanie książek dotyczących rozwoju duchowego człowieka. – Interesuje mnie duchowość Wschodu, interpretacje Biblii, systemy filozoficzne, w których człowiek jest przedmiotem analizy. I z ogromną przyjemnością i niezmiennym zaciekawianiem czytam Paulo Coelho, który tą problematyką zajmuje się w wymiarze popkultury – mówi prof. Tadeusz Trziszka, który zapytany o znaczenie jego nazwiska, ze śmiechem przytacza wyjaśnienia prof. JERZEGO MONKIEWICZA: – On twierdzi, że to drżaga po słowacku. Przyznam, że zainteresowania genealogiczne zostawiłem bratu. Wiem, że rodzice pochodzili z okolic Stanisławowa, dziadek i pradziadek mieli młyny, więc byli zamożnymi ludźmi. A jeden z moich kuzynów, Zygmunt, był pisarzem i wieloletnim redaktorem „Miesięcznika Literackiego”, gdzie publikował artykuły dotyczące twórczości między in-

nymi Edwarda Stachury czy Tadeusza Nowaka.

Metodą zarządzania preferowaną przez przyszłego retora jest... rozmawianie. Jego podwładni przyzwyczaili się, że regularne spotkania wszystkich u szefa i omawianie, „wałkowanie”, relacjonowanie tego, co się dzieje, co planuje, czego chce – jest obowiązkowe. Tak się tworzy zespoły, a Tadeusz Trziszka nie ma wątpliwości, że żyjemy w czasach, w których znaczenie mają nie pojedyncze, indywidualne działania, tylko współpraca, kooperacja. Przyszli prorektorzy także musieli wygospodarować czas na regularne spotkania. Rektor nie pozwala na nich za wiele rozmawiać o szczegółach, podziale kompetencji, strukturze: na to przyjdzie czas, teraz rozmawiamy o problemach i możliwościach, o potencjale i ryzykach.

– Nie wolno wątpić, trzeba iść czasem pod prąd i nie wolno się bać. Trzeba czasem podejmować wysokie ryzyko i mieć wiarę, że można przejść przez morze suchą stopą – powtarza Tadeusz Trziszka. •

MAMY JUŻ NOWYCH DZIEKANÓW

Wydział Biologii i Hodowli Zwierząt: dr inż. ADAM ROMAN

Specjalista w zakresie pszczelnictwa, chowu i hodowli pszczoł oraz toksykologii i oceny produktów pszczelich. Jego dorobek naukowy obejmuje 135 pozycji, w tym 56 oryginalnych prac twórczych. Autor i współautor sześciu książek, w tym rozdziału w Encyklopedii pszczelarskiej.

Wydział Inżynierii, Kształtowania Środowiska i Geodezji: prof. BERNARD KONTNY

Członek Komitetu Geodezji PAN, w tym Sekcji Geodynamiki Ziemi, Sekcji Sieci Geodezyjnych i Sekcji Geodezji Inżynierskiej, Komisji Geodezji Satelitarnej Komitetu Badań Kosmicznych PAN oraz Komisji Neotektoniki Komitetu Badań Czwartorzędu PAN. Związany jest z Instytutem Geodezji i Geoinformatyki.

Wydział Medycyny Weterynaryjnej: dr KRZYSZTOF KUBIAK

Specjalizuje się w zakresie chorób psów i kotów, szczególnie w dziedzinie gastroenterologii oraz diagnostyki endoskopowej chorób przewodu pokarmowego, układów oddechowego i moczowego tych zwierząt. Członek Zarządu Sekcji Gastroenterologicznej Polskiego Stowarzyszenia Lekarzy Weterynarii Małych Zwierząt i Polskiego Towarzystwa Nauk Weterynaryjnych.

Wydział Nauk o Żywności: dr hab. inż. ANNA CZUBASZEK

Pracuje w Katedrze Technologii Owoców, Warzyw i Zbóż. Tematem jej rozprawy doktorskiej była „Charakterystyka technologiczna pszenżyta hodowli polskiej na podstawie metod pośrednich i wypieku laboratoryjnego”, a habilitacyjnej – „Charakterystyka technologiczna mieszanek mąki pszennej z produktami przemiatu owsa”.

Wydział Przyrodniczo-Technologiczny: dr hab. inż. BOGDAN STĘPIEŃ

Dotychczasowy prodziekan ds. kierunków ekonomia oraz zarządzanie i inżynieria produkcji, pracuje w Instytucie Inżynierii Rolniczej. Jego dorobek obejmuje ponad 30 oryginalnych prac twórczych. Główne zainteresowania naukowe to: agrofizyka surowców rolniczych i jakość produktów suszarniczych.

Jarosław Bosy: przyszły prorektor do spraw nauki i współpracy z zagranicą

JEŚLI PRACA, TO W ZESPOLE

Kiedy został profesorem, sółtys jego rodzinnej wsi wyciął z gazety informację i powiesił na tablicy ogłoszeniowej w dawnej szkole podstawowej. By wszyscy wiedzieli, że to powód do dumy nie tylko w rodzinie Bosych.

Profesor JAROSŁAW BOSY. To ojciec, kierowca w spółdzielni rolniczej, wybrał mu średnią szkołę. Bo chłopak musi w rękę mieć konkretny fach. Ten fach zdobywał więc w technikum w Poznaniu i szykował się do tego, że będzie geodetą.

– Przed maturą każdy miał wielkie plany. Studia na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie albo na Politechnice Warszawskiej. Mieliśmy ambicje, ale też jak to u dzieciaków, ważni byli koledzy. No i posłuchałem kolegów, bo wcale wtedy aż taki samodzielny specjalnie nie byłem – wspomina profesor Bosy, który wraz z tymi kolegami przyjechał na studia na Akademię Rolniczą do Wrocławia. – Przyjechaliśmy w przekonaniu, że tu będzie łatwo, ale trochę mnie uwierało, że jest zbyt łatwo. Lubię wyzwania.

Nowy prorektor do spraw nauki i współpracy z zagranicą przyznaje, że w trochę zbuntowanej głowie od czasu

do czasu pojawiała mu się wtedy myśl, że to jednak nie to, że za nisko ustawił sobie poprzeczkę, że jednak marka uczelni ma znaczenie.

– I dlatego dzisiaj wiem, jak ważne jest budowanie tej marki. Krok po kroku, cegiełka po cegiełce – profesor pochyla się nad filiżanką kawy, by po chwili zastanowienia odpowiedzieć na pytanie, czy dzisiaj w marce o nazwie Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu jest też cegiełka z napisem „Jarosław Bosy”: – Jest i bardzo jestem z tego dumny, że nowoczesna geodezja, ta na światowym poziomie w Polsce i w Europie, kojarzona jest właśnie z nami, z Instytutem Geodezji i Geoinformatyki Uniwersytetu Przyrodniczego.

WAWRZYNY – KAPITAŁ NA CAŁE ŻYCIE

Jarosław Bosy przyznaje, że ma szczęście w życiu. Dużo szczęścia. A jednym

z dowodów na to, że jest szczęściarzem, jest... jego żona Beata.

– Człowiek czasem w życiu mądrzeje i czasem nawet nie wie kiedy – śmieje się profesor i od razu wyjaśnia. – Zawędrowałem do Duszpasterstwa Akademickiego „Wawrzyny”, do słynnego „Orzecha”, czyli księdza STANISŁAWA ORZECZOWSKIEGO. „Orzech” powtarzał nam, że najciekawsze dziewczyny chodzą w okolicach placu Nankiera, szczególnie zaś chodzą na czwartym roku studiów, bo męża szukają.

Już zupełnie poważnie Jarosław Bosy opowiada, że ów symboliczny plac Nankiera, czyli serce wrocławskiej humanistyki z filologiami polską, rosyjską czy romańską, rzeczywiście w jego przypadku się sprawdził.

– Ale nie od razu, bo najpierw po prostu razem uczestniczyliśmy w różnych wypadach, wyjazdach. I dopiero po jakimś czasie wyszło, że razem nam



Profesor JAROSŁAW BOSY

Stopień doktora nauk technicznych uzyskał w 1996 r. na Wydziale Geodezji Górniczej i Inżynierii Środowiska AGH w Krakowie na podstawie rozprawy pt. „Zintegrowany system przetwarzania danych tachymetrycznych, niwelacyjnych i GPS”. W 2006 r. otrzymał stopień naukowy doktora habilitowanego w dyscyplinie geodezja i kartografia na podstawie rozprawy habilitacyjnej pt. „Precyzyjne opracowanie obserwacji satelitarnych GPS w lokalnych sieciach położonych w terenach górskich” i oceny dorobku naukowego, również na AGH w Krakowie.

Od połowy roku 1996 włączył się w prace naukowe związane z badaniami geodynamicznymi, szczególnie o charakterze lokalnym w Polsce, Czechach, Grecji i Włoszech. Aktualnie prowadzi badania związane

z precyzyjnym opracowaniem obserwacji satelitarnych GNSS na potrzeby monitorowania Ziemi, w tym atmosfery. Jest współautorem koncepcji zintegrowanej sieci geodezyjnej w Polsce.

Autor lub współautor łącznie ok. 140 prac naukowych, w tym ok. 60 oryginalnych prac twórczych, z których większość publikuje w języku angielskim, w tym w czasopiśmie wyróżnionych w Journal Citation Reports.

Jest członkiem Międzynarodowej Asocjacji Geodezji (IAG) i Amerykańskiej Unii Geofizycznej (AGU), Sekcji Komitetu Geodezji oraz Komisji Komitetu Badań Kosmicznych i Satelitarnych PAN. Od 2010 r. jest członkiem Państwowej Rady Geodezyjnej i Kartograficznej przy Głównym Geodecie Kraju. Działa także w Stowarzyszeniu Geodetów Polskich.



*Album pięciu fotografii i mitosci
na 50. urodziny Jaroslawa.
Bosemu zrobila zina Beata.
Sz w nim i legitymacja szkolna,
i zdjecie nastolatka, który chcial
zostac gitarzystą, i fotografia syna,
z którego są takie dumni i pamietkowe
zdjecia z konferencji na które
jezdzi ze wspolpracownikami*

po drodze. Dzisiaj mogą być tylko głęboko wdzięczny „Orzechowi”, który zawsze mówił „pamiętaj, przynajmniej w domu nie będziecie rozmawiać tylko o pracy. Będziecie dla siebie, a nie obok siebie”.

Jarosław Bosa, który jak sam przyznaje, ma duszę nieco rogatą, oświadczał się, nadrabiając trochę miną.

– Powiedziałem mojej przyszłej teściowej, co zresztą w żartach przypomina mi od czasu do czasu, że nie tylko proszę o rękę Beaty, ale też że biorę ją, jak i ona mnie ze wszystkim, dobrym i złym, co oznacza, że trzeba się liczyć z konsekwencjami – wzdycha profesor,

przyznając jednocześnie, że charakteru łatwego nie ma, a żona jest jego największym przyjacielem, który ten charakter pomaga mu kształtować.

Świadkiem ich sakramentu – bo dla profesora tamten dzień, kiedy powiedział sobie „tak”, nie był po prostu ślubem, ale właśnie sakramentem – był ks. MIROSŁAW MALIŃSKI, który od „Orzecha” przejął organizację wrocławskiej pielgrzymki na Jasną Górę.

SIŁA POWOŁANIA

BEATA PAPROCKA-BOSY, absolwentka wrocławskiej polonistyki, po studiach poszła pracować do szkoły specjalnej,

z dziećmi upośledzonymi umysłowo. Dzisiaj swoim doświadczeniem dzieli się w kuratorium oświaty. – I to dzięki mojej żonie zrozumiałem, że praca, która ma głęboki sens, która nas kształtuje, rozwija, daje radość, to praca z powołania. Tak jak uczył nas „Orzech”, benedyktyńskim zawołaniem „ora et labora” – tłumaczy Jarosław Bosa, dodając, że jemu zdecydowanie najbliższa była druga część owego zawołania, czyli praca. Bo kiedy w „Wawrzynach” jego koleżanki i koledzy angażowali się w Ruch Odnowy w Duchu Świętym, on wolał kopać fundamenty pod budynek duszpasterstwa.

– Praca. Ona naprawdę kształtuje człowieka – profesor stawia na kawiarnianym stoliku filiżankę z kawą. – Ja swoje powołanie też musiałem odkryć. Bo powołanie to jest talent do czegoś. I każdy go ma, trzeba tylko umieć go dostrzec i rozbudzić – dodaje po chwili.

Absolwent Akademii Rolniczej we Wrocławiu, kierunku geodezja urzędzeń rolnych, nie czuł specyfiki tych urzędzeń rolnych. Swój świat odkrył dopiero u profesora Osady, którego rozumienie nowoczesnej geodezji młodemu chłopakowi zaimponowało.

– To był nauczyciel, od którego mam warsztat i dzięki któremu poznałem tę geodezję, w którą warto inwestować. – Profesor pospiesznie tłumaczy, czym jest „owa” geodezja – zamieniłem miernictwo na obserwacje Ziemi. Mój syn był przekonany, że geodeta to taki człowiek biegający po polu z miarką i w kaloszach. A tymczasem nowoczesna geodezja pozwala badać i próbować rozumieć skomplikowany system, jaki tworzy nasza planeta.

ODWAGA I SAMODZIELNOŚĆ

Uważa, że trzeba stawiać na młodych, dawać im szansę, wypuszczać w świat i nie podcinać skrzydeł, kiedy wybijają się na niezależność. Że trzeba być odważnym w podejmowaniu decyzji i otwierać się na to, co przynoszą ze sobą inni. I podać rękę, kiedy jest taka potrzeba.

– Mnie podała ją profesor KRZYWICKA-BLUM, kiedy siedziałem na korytarzu, już po obronie pracy magisterskiej. Wróciłem z ostatniego seminarium kół naukowych geodetów na Politechnice Warszawskiej i właśnie się dowiedziałem, że nie ma dla mnie miejsca na uczelni. Ona akurat przechodziła i mu-

siałem mieć bardzo nietęgą minę, bo podeszła do mnie i zapytała „a co pan tak rozpacza, młody człowieku?”. „Myślałem, że zostanę naukowcem” – odpowiedziałem jej bez namysłu. A ona zaprosiła mnie do zespołu geodezji inżynierskiej. Czasem więc przeznaczenie stawia na naszej drodze właściwego człowieka, choć początek tej drogi wcale nie wydaje nam się wymarzony, bo planowaliśmy coś zupełnie innego – przyznaje profesor Bosa.

Dzisiaj podkreśla, że najważniejsze jest inwestowanie w ludzi, i nie kryje, że kiedy jest mowa o teledetekcji opartej o system GNSS, to zawsze rozpiera go duma. Bo wrocławski ośrodek naukowy to dzisiaj marka. – A osoby, które już znaczą wiele, na pewno będą znaczyły w przyszłości jeszcze więcej, szczególnie w obszarze meteorologii GNSS, rozwoju technik satelitarnych oraz pozycjonowania i monitorowania Ziemi.

Nowy prorektor do spraw nauki i współpracy z zagranicą, który we wrześniu rozpocznie urzędowanie, nie kryje, że intensywna praca naukowa to wielki kapitał. Seminaria, konferencje, dyskusje – to droga do nawiązywania kontaktów, przecierania ścieżek. Tak robił on i tak robią młodzi, na których stawia.

DUMA WAŻNA RZECZ

Mama nie dożyła najważniejszego dnia w jego życiu zawodowym – odebrania z rąk prezydenta Polski nominacji na profesora.

– Była dla mnie bardzo ważna. To ona zaszczepiła mi miłość do książek. Sama zresztą dużo czytała. Do Pałacu Prezydenckiego pojechaliśmy z żoną i moim tatą. Syn mi zrobił niespodziankę, bo przyleciał na tę uroczystość

PODPÓWIEDZI NIE TYLKO DLA WSPÓŁPRACOWNIKÓW

Zasada numer 1: Kiedy jest problem do rozwiązania, to szukamy ludzi kompetentnych i budujemy z nich zespół zadaniowy. Kieruje zespołem ta osoba, która ma predyspozycje do liderowania i ogarnia problem, a tym samym jego rozwiązanie.

Zasada numer 2: To, że jest zdenerwowany i najlepiej umówić się w innym terminie, można poznać po tym, że mówi zamiast słuchać.

Zasada numer 3: Spotkanie najlepiej zaczynać od pominięcia wstępu i zaproponowania rozwiązania zamiast generowania kolejnego problemu.

z Glasgow, gdzie robi doktorat z matematyki. Kiedy już byliśmy w Sali Kolumnowej, to dopiero wtedy dotarło do mnie, że tak naprawdę, to jest przede wszystkim wielki dzień w życiu mojego taty, który w tym miejscu nigdy by się nie znalazł, gdyby nie moja praca. Takie chwile są wyjątkowe i w wyjątkowy sposób, bo bez potrzeby używania jakichkolwiek zbędnych słów, budują prawdziwą więź – Jarosław Bosa poważnie, ale po chwili już z uśmiechem dodaje: – Pamiętam, jak posłuchałem kiedyś kolegów, że teraz jest moda i do rodziców mówi się po imieniu. No i jak wyskoczyłem tak do taty, to... Dzisiaj zresztą sam, kiedy jestem ojcem, chyba bym się niezręcznie czuł, gdyby mój syn tak do mnie mówił. Wszystko ma swoje miejsce w życiu. Są jakieś role do wypełnienia. Ważne, niektóre nawet bardzo ważne. I powinniśmy to uszanować.

PROFESOR W PIGUŁCE

Lubi podróże. Z żoną na każdy wyjazd zawsze zabierali mnóstwo książek – dzisiaj zastępują je e-booki. Dużo czasu poświęcają na rozmowy. O książkach, obejrzanych filmach, spektaklach (choć ostatnio kino traktują trochę po macoszemu). Nie opuszczają ciekawych przedstawień w Operze Wrocławskiej, koncertów w Narodowym Forum Muzyki. Od 1997 roku systematycznie grywa w niezmiennym towarzystwie coraz „młodszych” oldbojów w siatkówkę. Rower, a od kilku lat „nordic walking” pozwalają mu nie tylko dbać o kondycję, ale również sprzyjają rozmyślaniami. •

KILKA SŁÓW O SZEFIE

Profesor Bosa jest świetnym szefem, zawsze stanie po stronie swojego pracownika czy doktoranta, jest bardzo wymagający, ale zawsze można liczyć na jego wsparcie. Ma wizję i konsekwentnie ją realizuje. Można nauczyć się odpowiedzialności za swoje działania i potrzeby wspierania tych, którzy chcą i potrafią pracować. Nie znosi nieróbstwa i zrzucania odpowiedzialności na innych. Można z nim się nie zgadzać, a przekonanie go do zmiany zdania wymaga czasu, ale nie jest niemożliwe. Myślę, że już ma dokładny plan zadań na całą swoją kadencję prorektora i wie, co chce osiągnąć.

WITOLD ROHM

Anna Chełmońska-Soyta: przyszła prorektor do spraw współpracy z gospodarką

OPĘTANA NAUKĄ

Kiedy pojawiło się nazwisko profesor Chełmońskiej-Soyty jako kandydatki na prorektora, wielu pracowników spoza Wydziału Weterynarii Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu zadawało sobie pytanie: która to jest? Nic dziwnego – ANNA CHEŁMOŃSKA-SOYTA, weterynarz, immunolog, znawczyni problematyki immunologii rozrodu, to rasowy naukowiec. Łatwiej ją spotkać w laboratorium, na sympozjum dla wąskiego grona specjalistów, międzynarodowej konferencji czy na wykładzie, niż podczas spotkań integracyjnych albo w czasie towarzyskich pogaduszek przy winie.

Zresztą dwa etaty: samodzielnego pracownika nauki w Katedrze Immunologii, Patofizjologii i Prewencji Weterynaryjnej na UPWr i kierownika Laboratorium Immunologii Rozrodu w Instytucie Immunologii i Terapii Doświadczalnej, powodują, że niewiele czasu pozostaje na inne niż naukowe kontakty.

Na szczęście rozumieją to najbliżsi. Bo mimo że prof. Chełmońska-Soyta przyznaje, że od zawsze zajmowanie się nauką było jej celem i sensem życia, to jednak rodzina jest na pierwszym miejscu listy

spraw NAJWAŻNIEJSZYCH. Tymczasem proporcje liczone w godzinach jej aktywności nieustannie przechylają się na korzyść pracy. Akceptacja męża i córki ma więc niemałe znaczenie.

Mąż, SŁAWOMIR, prowadzi we Wrocławiu własną praktykę adwokacką, związany jest też z BSJP – dużą kancelarią prawną specjalizującą się w Polsce w doradztwie gospodarczym, więc jemu w tygodniu także rzadko udaje się wrócić do domu przed wieczorem. MAGDA, córka jedynaczka, jest już na trzecim roku prawa i wszystko układa się dobrze. – A przecież to nie jest takie oczywi-

ste – pozwala sobie na chwilę zadumy Anna Chełmońska-Soyta. – My mieliśmy łatwiej, nasze wybory były prostsze. Chciałam studiować – studiowałam, chciałam pracować naukowo – pracowałam. Dziś młodzi ludzie są bardziej zagubieni w rozedrganym świecie, zaniepokojeni. Nawet ich przyjaźnie inaczej się kształtują, bo te najcenniejsze – ze szkoły średniej miały mniej czasu, by okrzepnąć, a gimnazjalne, jeśli nie szli do tego samego ogólniaka, w większości nie przetrwały.

Pani profesor nie ma wątpliwości, że rodzina i bliscy przyjaciele to otoczenie



Profesor ANNA CHEŁMOŃSKA-SOYTA

Wrocławianka z urodzenia, absolwentka wrocławskiej weterynarii, pracuje na Uniwersytecie Przyrodniczym i w Instytucie Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN, kierując tam Laboratorium Immunologii Rozrodu. Zajmuje się problematyką immunologii zwierząt.



Wakacje nie są zwykłe, zawsze starannie planowane i organizowane przez Stanisława Soyty, męża przyszłej prorektora, to czas Tadaromii, akumulowania i nadrobienia zaległości i bycia razem

Cała rodzina Anny Chełmońskiej-Soyty uwielbia konie. I mimo że dziś pani profesor już nie jeździ, wprawny pod Wrocław do stajni są najlepszym sposobem na szybki odpoczynek

Możliwość uczestniczenia w zagranicznych konferencjach i stacjach (m.in. w Japonii) to jedna z tych rzeczy, za które przyszła prorektorka jest szczególnie wdzięczna swojej uczelni

niezbędne, by dać sobie w życiu radę. Trudno na przykład wyobrazić sobie, jak – mając małe dziecko – zdołałaby zrobić habilitację bez pomocy teściowej i mamy.

Prywatny krąg przyjaciół państwa Soytów to głównie znajomi z czasów szkoły średniej. W większości lekarze. Anna, urodzona wrocławianka, kończyła IX LO. To wtedy razem czytali poezję romantyczną i wielką epikę, później już na takie lektury nie było czasu. Więzy z tamtych lat przetrwały do dziś. – Możemy się nie widywać miesiącami, nawet nie dzwonić do siebie, a jednak jesteśmy blisko – mówi. – Niedawno po raz kolejny uświadomiłam sobie, jakie to ważne: kiedy umarła mama naszej przyjaciółki – stawiliśmy się wszyscy, z naszymi drugimi połówkami, byliśmy przy niej.

Kiedy w roku 1985 Anna Chełmońska-Soyta, świeżo upieczona absolwentka

weterynarii, zaczynała pracę na uczelni, marzyła jej się klinika chorób wewnętrznych. Tu nie było akurat wolnych etatów, trafiła więc do kliniki rozrodu. W czasach kiedy medycyna psów i kotów raczkowała, a weterynarze – w przeważającej większości mężczyźni – badali i leczyli konie, świnie, krowy – dziewczyna na położnictwie to było duże wyzwanie zarówno dla samej zainteresowanej, jak i dla kolegów po fachu. Na szczęście na zawodowej ścieżce przyszłej pani prorektorki pojawiła się profesor MARIA NIKOŁAJCZUK.

– Moja mentorka to prawdziwy mistrz, osoba o przenikliwym umyśle i wielkiej wiedzy. Najlepsze, co mogło mi się zdarzyć – podkreśla nawet teraz, po tylu latach, Anna Chełmońska-Soyta. To dzięki wizji profesor Nikołajczuk Anna Chełmońska-Soyta rozpoczęła trwającą 30 lat przygodę z immunologią. Przygodę fascynującą, niekończącą się, jak każde autentyczne naukowe działanie.

Czym jest nauka i co stanowi, że człowiek zostaje naukowcem – napisano o tym tysiące prac i wywodów, spisano wiele teorii, wypowiedziano mnóstwo mniej lub bardziej złotych myśli.

Dla Anny Chełmońskiej-Soyty bycie naukowcem to nieustanna potrzeba podglądania świata i przewidywania zjawisk, mechanizmów, procesów, które na ten świat się składają. A potem potrzeba sprawdzenia, czy to przewidywanie było słuszne. Czy podglądane zjawisko rzeczywiście istnieje? Czy w rzeczywistości jest tak, jak myślę? Trzeba zaprojektować cały ciąg działań, zrobić mnóstwo doświadczeń. I w większości przypadków przekonać się, że nie jest tak, jak myślimy albo że tylko trochę zbliżyliśmy się do właściwej odpowiedzi.

Badacz na co dzień znacznie częściej ponosi porażki, niż odnosi sukcesy. – Trzeba być opętanym nauką, żeby to przetrwać – zauważa prof. Chełmońska-Soyta. – Czasem borykamy się z proble-

mem do zbadania, ale nim my się zorganizujemy, nim zdobędziemy finansowanie, już Amerykanie go rozpracują. Czasem mam w sobie jakąś badawczą intuicję, ale w natłoku spraw nie poświęcam jej uwagi, a potem po cichu żałuję, bo ktoś inny znalazł odpowiedź na nurtujące mnie pytanie i odniósł sukces – opowiada.

Po tym jak doktoranci przeżywają porażki, pani profesor rozpoznaje, czy to prawdziwi pasjonaci opętani nauką, których ceni szczególnie, czy ci – którzy do nauki podchodzą pragmatycznie, bo potrzebują tytułu przed nazwiskiem dla kariery, a kwestie poznania są dla nich wtórne.

Tylko tym najwybitniejszym spośród opętanych nauką udaje się wejść na kolejny, wyższy poziom poznania. Bo wiedza o rzeczywistości to nieskończoność możliwości i to – według prof. Chełmońskiej-Soyty – jest w nauce najpiękniejsze: – Na przykład w biologii molekularnej teraz badamy wszystko na poziomie cząsteczek – białek, aminokwasów. Następny poziom poznania to zapewne będzie badanie oddziaływania subatomowego, bo przecież zjawiska kwantowe wpływają na procesy biologiczne. Jak? Trzeba to zbadać, rozpoznać, wyjaśnić.

Stosunek do nauki przyszłej prorektor ma dwa źródła: dom rodzinny z tradycjami inteligenckimi od wielu pokoleń i instytucje akademickie: rodzimy Wydział i Instytut Immunologii i Terapii Doświadczalnych PAN. To w nich nauczyła się skutecznie projektować i realizować prawdziwy naukowy proces badawczy, poznała tajniki warsztatu naukowego.

A dom, w którym z dziada pradziada zajmowano się nauką, z którego rodzice do pracy na uczelniach wychodzili z prawdziwą radością, spowodował, że od zawsze wiedziała, że chce być naukowcem. Mama przyszłej pani prorektor to profesor BRONISŁAWA CHEŁMOŃSKA, przez lata szefowa zakładu hodowli drobiu na Wydziale Biologii i Hodowli Zwierząt UPWr, prekursorka sztucznego unasienniania drobiu w Polsce. *Nota bene* Bronisława Chełmońska jest wychowanką innej wybitnej postaci związanej z UPWr – weterynarza i filozofa w jednej osobie – prof. TADEUSZA MARIŁ CELESTYNA OLBRYCHTA. Kiedy prof. Olbrycht zapytał swoją studentkę, czym chciałaby się zajmować, usłyszał, że czymkolwiek, byle było zwierzę i mikroskop. Wtedy Bronisława dostała zadanie badawcze: ptactwo domowe, dzięki czemu stworzyła szkołę naukową stosowania biotechnologii w rozrodzie drobiu.

Córka wiele zawdzięcza swojej uczonej mamie, ale warto anegdotycznie dołączyć do tego jeszcze i fakt, że ma na imię Anna, a nie – jak nakazywała rodowa tradycja – Bronisława. Tradycja z nadawaniem imion w rodzinie Chełmońskich to nie przelewki: jej ojciec to profesor prawa z Uniwersytetu Wrocławskiego – ADAM CHEŁMOŃSKI, syn innego wybitnego prawnika, znawcy prawa administracyjnego i gospodarczego, wiceministra sprawiedliwości w latach 1937–1939, posła na Sejm II RP ADAMA CHEŁMOŃSKIEGO. W tej sytuacji brat pani profesor to oczywiście także Adam – czyli dr ADAM CHEŁMOŃSKI, lekarz z trzebnickiego ośrodka transplantacji, który nie mógł inaczej niż Adam nazwać także swojego syna. Tak

CO WARTO WIEDZIEĆ O PRZYSZŁEJ PROREKTOR DS. WSPÓŁPRACY Z GOSPODARKĄ, NIM SIĘ ZACZNIE Z NIĄ WSPÓŁPRACĘ...

- Czego Pani nie toleruje?
– Kłamstwa. Nie znoszę oszukiwania, a temu służy kłamstwo.
- A czy jest Pani pamiętliwa?
– Bez przesady – nawet gdy się komuś zdarzy zachować niewłaściwie, staram się zrozumieć, poznać przyczynę. Ale w niektórych sprawach, tych ważnych dla mnie, nie zapominam łatwo i z tym drugim policzkiem i nastawianiem go... to raczej bym nie przesadzała.

więc w linii męskiej w rodzinie tradycja nadawania imion została podtrzymana, w linii żeńskiej przetrwała wyłącznie tradycja podejmowania niekończących się wyzwań.

Teraz kiedy przyszło wyzwanie, którego nie da się rozwiązać w laboratorium, nad mikroskopem i przy komputerze, Anna Chełmońska-Soyta uznała, że czas spłacić zobowiązanie wobec uczelni i Wydziału Medycyny Weterynaryjnej, na którym i dzięki któremu mogła realizować swój życiowy plan bycia naukowcem. Przez najbliższe przynajmniej cztery lata będzie odpowiadać za współpracę uczelni z gospodarką. Jest łatwiej, bo wizja profesora TRZISZKI, rektora-elekta, wpisuje się w to, co myśli ona sama: Uniwersytet Przyrodniczy musi stać się znaczącym ogniwem procesów gospodarczych zachodzących w najbliższym otoczeniu, ale także tych europejskich. Zadania na początek: stworzenie struktury pomagającej pracownikom przygotowywać projekty i pozyskiwać finansowanie. Zorganizowanie systemu zamawiania prac dyplomowych przez przedsiębiorstwa. Usprawnienie komercjalizacji z jednoczesnym zabezpieczeniem interesów naukowców. Wsparcie tworzenia przez studentów i młodych pracowników nauki spółek spinowych... Wygląda na to, że katalog tych zupełnie nowych zadań Anny Chełmońskiej-Soyty jest nieskończony, podobnie jak lista fascynujących ją problemów badawczych. •

Tylko tym najwybitniejszym spośród opętanych nauką udaje się wejść na kolejny, wyższy poziom poznania. Bo wiedza o rzeczywistości to nieskończoność możliwości i to jest najpiękniejsze

Józef Sowiński: przyszły prorektor do spraw studenckich i edukacji

POZYTYWISTA

– Wojtek, Jarek, Józek, kolacja! Gdzie wy cały dzień ganiacie... – nawoływała Zenobia Sowińska, a oni dopiero po latach zdali sobie sprawę, jacy byli tam wtedy wolni i szczęśliwi. Wszystko, co było im potrzebne mieli w swoim zasięgu: las, łąkę, pola. Przestrzeń. Owszem, były też obowiązki, choćby pasienie krów, ale po latach pozostaje pamięć przede wszystkim tej wyjątkowej swobody i głęboko zakodowane poczucie sensu pracy.

Dom rodzinny profesora JÓZEFA SOWIŃSKIEGO nie był bogaty. Ale które wiejskie domy na ziemi łódzkiej były wtedy bogate? Może w Wielkopolsce wioskowym żyło się lepiej, ale nie w tym przemysłowym rejonie.

Dziadek, tata pani ZENOBII, zginął w 1939 roku, więc dla niej, jej siostry i matki okres powojenny był bardzo trudny. Wiadomo: Łódź to było miejsce do bogacenia. Kto załapał się do przemysłu włókienniczego, ten miał łżej. Ale tutaj, w Pratkowie, trzeba było się ciężko naharować, żeby żyć.

Kiedy w latach 60. na świat przychodziła kolejno czwórka dzieci, rodzinne gospodarstwo – raptem 5 hektarów ziemi, to było stanowczo za mało, żeby wyżywić rodzinę. Dlatego tata profesora Sowińskiego, JAN, jak to często bywa, niewiele czasu spędzał z dziećmi. Pracował przy produkcji betonowych kręgów studziennych. Wtedy to była prawdziwa manufaktura – trzeba było niemałego

doświadczenia i umiejętności, żeby wymieszać odpowiedniej gęstości i odporności beton, użyć odpowiedniego kruszywa, umiejętnie wlać go do form, ostukać specjalnym młotkiem... Ciężka fizyczna, absorbująca robota. Nie było żadnych urządzeń i automatów. Jan Sowiński wyjeżdżał świtem do pracy, wracał wieczorem, a dziećmi i gospodarką zajmowały się mama i babcia. Gdy w okresach nawału prac gospodarskich, tata wracał z pracy wcześniej, Józio wybiegał mu na spotkanie. Ojciec sadzał go na ramę roweru i tak razem wracali do domu. Józef Sowiński do dziś pamięta z tych przejażdżek zapach ojcowskiego ubrania – zapach świeżego betonu...

A teraz wspólnie z rodzeństwem szykują 90. urodziny ojca.

Profesor zawiezie do rodzinnego domu pod Łodzią kolejny wyjątkowy prezent, kolejny powód do rodzicielskiej dumy: syn będzie prorektorem Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu! Zresztą

państwo Zenobia i Jan Sowińscy mają przynajmniej cztery powody do satysfakcji. Rodzinne gospodarstwo pod Łodzią nie jest dużo większe niż 50 lat temu, ale teraz to wysoko specjalistyczna produkcja, nowoczesne chlewnie rozwijane cały czas przez młodszego z braci – WOJCIECHA. JAROSŁAW, podobnie jak najstarszy z rodzeństwa Józef, zrobił karierę naukową – zajął się inżynierią środowiska, jest prodziekanem na Politechnice Łódzkiej. Siostra AGNIESZKA – włókiennik – pracuje w łódzkiej fabryce Wola.

* * *

Odległość, którą Józef Sowiński pokonał w ciągu 53 lat życia, to nie tylko te 170 kilometrów dzielących Wrocław od Pratkowa niedaleko Zduńskiej Woli. To osobista droga, którą trzeba było pokonać, by chłopak z niebogatej wiejskiej rodziny opublikował 170 prac naukowych, wychował ponad 30 magistrów i doktorów, uczestniczył w międzynarodowym



Profesor JÓZEF SOWIŃSKI

Od szkoły średniej – ukończył Technikum Rolnicze w Wojsławicach – związany jest z naukami rolniczymi. Pracę na uczelni rozpoczął tuż po ukończeniu studiów na wydziale rolniczym. Jego naukowe osiągnięcia związane są z doskonaleniem upraw koniczyny, lucerny, facelii, zajmował się też kwestiami oceny wartości roślin pastewnych (wartości pokarmowej i plenności), a także problematyką gospodarki rolniczej w trudnych warunkach terenowych.

Stopień doktora nauk rolniczych otrzymał w 1996 r. na podstawie pracy pt. „Wpływ niektórych czynników

agrotechnicznych na wysokość i jakość plonu nasion facelii błękitnej (*Phacelia tanacetifolia Benth.*) na dwóch kompleksach glebowych”. Stopień doktora habilitowanego uzyskał w 2005 r., przedkładając rozprawę pt. „Wpływ sposobu uprawy i nawożenia azotem na plonowanie pszenicy ozimej przeznaczonej na kiszonkę i ziarno”.

Dydaktyczne osiągnięcia profesora to m.in. ponad 30 magistrantów. Od 2008 roku Józef Sowiński pełnił funkcję prodziekana.

dowych projektach badawczych, współzarządzał jako prodziekan największym wydziałem uniwersyteckim.

Tak naprawdę czterdzieści lat temu, jak każdy chłopak na wsi, chciał być traktorzystą. Bo to kontakt z nowoczesnością, z technologią. Więc poszedł do szkoły zawodowej. Miał wtedy dwie pasje: maszyny i książki. Czytał, choć nie wszystko, co było na półkach biblioteki wiejskiej, bo niektóre lektury okazały się wtedy za trudne. Sam musiał się przedzierać przez pojęcia, kody, znaczenia, które być może dla wielu jego rówieśników nie były wyzwaniem. Ale ta potrzeba czytania przetrwała do dziś. I ubole-

wa, że nie ma teraz dość czasu, by zagłębić się w lekturze. Dlatego czeka na każdy urlop, żeby znów móc spokojnie przeczytać. Ostatnio po Turcji i Rumunii wędrował z „Księgami Jakubowymi”. Olga Tokarczuk to jedna z ulubionych autorek profesora Sowińskiego i jego żony, KATARZYNY.

Być może to właśnie książki wtedy, przed laty, spowodowały, że po skończeniu zawodówki odkrył, że praca mechanika w POM-ie nie wydaje mu się już szczytem marzeń, że chce czegoś więcej.

Wybrał technikum mechanizacji rolnictwa koło Piotrkowa Trybunalskiego. Ale wtedy mama trafiła do szpitala.

Przez kilka miesięcy dzieci musiały przejąć obowiązki w gospodarstwie. I mimo że już wcześniej każdy z nich miał tu swoje zadania – wielu rzeczy, np. dojenia krów, trzeba się było nauczyć. W tej sytuacji, zamiast wymarzonego technikum mechanizacji rolnictwa, wybrał naukę w pobliskim technikum, przy wcześniej ukończonej zawodówce.

– Zawsze miałem szczęście do ludzi – tak profesor Sowiński odpowiada dziś na pytania o to, jakim sposobem chłopak z podłódzkiej biednej wsi tyle osiągnął. – Spotykałem i spotykam na swojej drodze ludzi, którzy mi zawierzali, inwestowali w mój rozwój.



Imieniny, urodziny, rocznice – zawsze jest jakiś powód, by przejechać do rodzinnego Pratekora. W domowym albumie niecznie kogos z rodzeństwa brakuje. Ktoś musiał te zdjęcia robić i tu rodzeństwo Sowińskich bez Agnieszki: Wojciech, który rozwinął gospodarstwo rodziców, Jarosław i Józef, którzy wypracowali karierę naukową



Wspólne uprząż i pozowanie świąta są w rodzinie pastora Sowińskich stałym elementem kalendarza, jak świąta czy rodzinne uroczystości. Trudno wyobrazić sobie Tomasz, z którym dopiero co penetrowali: do wesołych jaskini, to dziś już dorosły mężczyzna, student architektury

Nauczycielka w technikum, ANNA MAJCHRZAK, wysłała go na olimpiadę wiedzy i umiejętności rolniczych, *nota bene* nadal organizowaną także na UPWr.

Nagrodą dla laureata był indeks. Laureat wybrał uczelnię we Wrocławiu.

Tu kolejni ludzie, do których miał szczęście: docent BRUŹDZIAK, profesor HRYNCEWICZ. Później profesor KOZAK, profesor PARYLAK – współpraca z nimi nie pozwalała stanąć w miejscu. No i jeszcze prof. PIOTR NOWAKOWSKI, z którym Sowiński uczestniczył w międzynarodowym projekcie badawczym i przez którego odkrył swoją nową pasję: Azję środkową. Zaczęło się od fascynacji Tadżykistanem – krainą wyjątkowych ludzi, biednych, ale szczerych i serdecznych. Teraz na liście lektur obowiązkowych jest wszystko, co z Azją związane, reportaże, powieści, a na liście planowanych wypraw oczywiście: Azja środkowa.

Uniwersytet Przyrodniczy stał się dla profesora Sowińskiego nie tylko miejscem pracy, realizacji naukowych ambicji, ale także miejscem, z którego wywodzą się prywatne przyjaźnie i towarzyskie relacje.

W tym ta najważniejsza w życiu, starannie pielęgnowana. Katarzyna. Przez kilka lat studiowali obok siebie. Działali w SKN. Byli w pobliżu siebie na praktykach, spotykali się na seminariach. Trudno powiedzieć, kiedy poczuli, że to wła-

śnie TA–TEN na całe życie. Ale profesor Sowiński doskonale pamięta pierwszą randkę z Kasią (czyli dziś profesor Katarzyną Adamczewską-Sowińską, szefową Katedry Ogrodnictwa). Na Manhattanie (tym między pl. Grunwaldzkim a ul. Skłodowskiej-Curie) była cukiernia. Kasia miała na sobie białą bluzkę i jedli krem sułtański. Ślub wzięli w 1990 roku i od tego czasu są dla siebie najważniejszymi doradcami, ale i recenzentami planów, zamierzeń i działań. Lubią wspólnie celebrować popołudniową filiżankę kawy. Niezależnie od tego, ile mają pracy, starają się codziennie wygospodarować godzinę na wspólny spacer.

– Moja żona zaakceptowała nowe wyzwania, które podjąłem wraz z funkcją prorektora. Rektor-elekt ma do mnie

zaufanie. W otoczeniu jest wielu świetnych, zaangażowanych ludzi. Jestem więc przekonany, że uda nam się zrealizować plany rektora TRZISZKI – mówi przysły prorektor ds. studenckich.

I nie przeszkadza mu, że akurat w jego działce (sprawy studenckie, dydaktyka) jest do wykonania najwięcej żmudnej, ale nie widowiskowej pracy, najwięcej spraw do załatwienia pozbawionych szczególnego splendoru i okazji do fajerwerków: – W szkole uwielbiałem pozytywizm, cieszyłem się, gdy skończył się romantyzm. Lubię Wokulskiego. Z rodzinnego domu wyniosłem nawyk pracy, konkretnej, uporządkowanej pracy. Fajerwerki? Splendor? Lepiej mieć poczucie dobrze wykonanej roboty. •

KRÓTKI PORADNIK DLA PRZYSZYŁYCH WSPÓŁPRACOWNIKÓW, PETENTÓW I GOŚCI PRZYSZŁEGO PROREKTORA JÓZEFA SOWIŃSKIEGO

• Czego Pan najbardziej w relacjach z innymi nie lubi?

– Braku szczerości. Wolę nawet usłyszeć coś w danym momencie bolesnego, niemitego, z czym się nie zgadzam, ale nie lubię zakulisowych działań ani kręćactwa.

• Co Pan najbardziej ceni w ludziach?

– Zaangażowanie. Szanuję ludzi, którzy nie są obojętni, starają się zrobić coś dobrego. Koniecznie takie osoby musimy bardziej promować, pokazywać, doceniać.

• Jak Pan sobie radzi z sytuacjami konfliktowymi, trudnymi?

– Rozmową. Powoli jako społeczeństwo zatracamy umiejętność rozmawiania, czyli także słuchania cudzych racji. Krzyczymy, próbujemy narzucić swoją wolę, zamiast usiąść przy stole i rozmawiać. Ja chcę rozmawiać.

Adam Szewczuk: przyszły prorektor do spraw rozwoju uczelni

W ZGODZIE ZE SOBĄ I Z LUDŹMI

W życiu kieruje się zasadą z Dezyderaty – być w zgodzie ze wszystkimi, o ile to możliwe, nie wyrzekając się siebie. ADAM SZEWCZUK chciał być lekarzem, ale zajął się naukowo ogrodnictwem i dzisiaj nie tylko o brzoskwiniach wie prawie wszystko.

Nie lubi zaskoczeń. I odkładania różnych spraw na później. Pracę, również tę w zespole, lubi planować, uważnie rozdzielając zadania. Każdy przecież ma inne predyspozycje, inne umiejętności, a w drużynie wszyscy grają do jednej bramki, więc to, co cenne, trzeba umieć odpowiednio wykorzystać. W trakcie rozmowy kilka razy odzywa się dzwonek telefonu, przypominający o zadaniach do zrobienia – profesor Adam Szewczuk, od września prorektor do spraw rozwoju Uniwersytetu Przyrodniczego, naprawdę nie lubi prowizorek. I konfliktów, bo uważa, że każdą, nawet najtrudniejszą sprawę da się rozwiązać. Trzeba tylko o problemie rozmawiać i szukać ścieżki, która łączy, a nie dzieli.

A JEDNAK BEZ HIPOKRATESA

Tato był dyrektorem administracyjnym w jednym z wrocławskich szpitali. Siostra – pielęgniarką. W klasie biologiczno-chemicznej XI Liceum Ogólnokształcącego na wrocławskim Biskupinie nie ponad połowa maturzystów swoją

przyszłość widziała w pracy w przychodniach i szpitalach. Adam Szewczuk też.

– Jeszcze przed maturą, w czasie wakacji po trzeciej klasie, poszedłem do Ochotniczych Hufców Pracy po skierowanie do pracy do szpitala. Przy przyjęciu na medycynę znaczenie przecież miały też punkty – wspomina profesor, który w ten sposób przez miesiąc pracował jako sanitariusz na oddziale neuroreanimacji. Dla młodego chłopaka to był szok. Ciężkie przypadki, najczęściej młodzi, sparaliżowani mężczyźni, którzy ten jeden raz za szybko wskoczyli do wody. Ten miesiąc go nie zniechęcił.

– Zabrakło mi jednak punktów, mimo zdanego egzaminu. Zawzięłem się i poszedłem na rok do pracy, tym razem na oddział ostrych zatruc – mówi Adam Szewczuk i nie kryje, że to była prawdziwa szkoła życia. Samobójcy, narkomani, ludzie zatruci grzybami. Tam zrozumiał, jakie znaczenie ma zespół i jak wiele zależy od tego, kto nim kieruje. I tam, po roku, zaakceptował fakt, że lekarzem jednak nie będzie.

– Medycyna przeszła mi raz na zawsze. Mam za to wielu znajomych lekarzy, bo pół mojej klasy ją jednak ukończyło – śmieje się profesor, który na studia poszedł za... swoją miłością.

KILKA KROKÓW PRZEZ ULICĘ

Mieszkali z rodzicami rzut beretem od Akademii Rolniczej. Trudno było tego nie docenić.

– Moja dziewczyna studiowała już na rolnictwie. Była bardzo sumienną studentką – uśmiecha się profesor, przyznając, że notatki jego przyszła żona miała wręcz idealne.

– Jesteśmy przykładem licealnej miłości, w szkole nawet w niektórych przedmiotach siedzieliśmy razem, ale zaiskrzyło między nami dopiero na studniówce – przyznaje przyszły prorektor, podkreślając, że został ojcem po raz pierwszy jeszcze na studiach, a żona, szykując się do roli matki, pisała pracę magisterską.

Oboje swoje prace poświęcili ogrodnictwu i oboje pisali o jabłoniach. Ale to

on tej dziedzinie nauki i gospodarki poświęcił swoje życie naukowe, bo żona ostatecznie zmieniła zawód i dzisiaj pracuje w księgowości.

– A nasze dzieci, można powiedzieć, łączą oba te światy. Syn i córka prowadzą we Wrocławiu dwie restauracje. „Dobra karma”, bo tak się nazywają, stawia na lokalne produkty, sprawdzonych wytwórców, więc biznes łączy z ideą *slow food* i tym, czym zajmujemy się również na naszej uczelni, a więc jakością produkcji – podkreśla Adam Szewczuk i nie kryje, że z żoną kibicują dzieciom, wspierają je, kiedy tylko jest potrzeba, bo przecież nawet samodzielne i dorosłe, dla rodziców zawsze będą dziećmi.

CIEKAWOŚĆ I SYSTEMATYCZNOŚĆ

Ogrodnictwo wymaga szerokiej wiedzy, dla laika wręcz zdumiewająco szerokiej. Wymaga też wytrwałości i konsekwencji. I umiejętności szybkiego reagowania. Bywa, że co godzinę sprawdza się termometr, bo przymrozek może w jedną noc zniszczyć nadzieje na dobre plony.

– Ale też i drzewa, które czują opiekę, potrafią się człowiekowi odplacić – mówi Adam Szewczuk, w którym raz na jakiś czas w stacji naukowo-badawczej Uniwersytetu Przyrodniczego w Samotworze, czyli po prostu uczelnianym sadzie, budzi się... poeta (choć nie da się ukryć,

że do tej poezji potrzebnych jest kilka, w tym i niepoetyckich, składników).

– Uczyliśmy się zawsze od najlepszych. Jeździliśmy do Niemiec i Holandii na szkolenia w modelowych sadach. Profesor PIENIAŻEK, kiedy zakładał Instytut Sadownictwa, miał ambicję, by wdrażać rozwiązania amerykańskie. To, że jesteśmy dzisiaj największym producentem jabłek w Europie, to jego zasługa – przypomina profesor i podkreśla, że tutaj, we Wrocławiu, na Uniwersytecie Przyrodniczym, dzięki konsekwencji, ciężkiej pracy i zaangażowaniu, udało się doprowadzić do tego, że na wydziale, który nie jest ogrodniczy, Instytut Ogrodnictwa uzyskał uprawnienia do habilitacji. To jedyny taki przypadek w całym kraju.

– Ale rozmawialiśmy o poezji – uśmiecha się profesor i wspomina, jak w początkach lat 90. ubiegłego wieku Instytut kupił do Samotworu deszczownicę. Do ochrony drzewek owocowych przed przymrozkiem.

– Trzeba ją wyjąć i włączyć w odpowiednim momencie. Urządzenie działa trochę jak prysznic, a wykorzystuje tzw. ciepło zamarzania. Kiedy więc spada temperatura, ale musi być nieco poniżej zera, zaczyna się polewać kwitnące drzewka. W ten sposób zamarzające kwiaty tak naprawdę utrzymywane są w stałej, wyższej od otoczenia, tempera-

turze – tłumaczy Adam Szewczuk i po chwili dodaje: – Poranek, wschodzące słońce i drzewka brzoskwińowe obsypane różowymi kwiatkami, całe w soplach lodu, to jedna z najpiękniejszych rzeczy, jaką widziałem w życiu.

Studentom zawsze też opowiada, jak to naukowcy z Instytutu Ogrodnictwa przysłużyli się do jednej z samotworskich legend.

– Po 1989 roku różne rzeczy były możliwe i nam udało się kupić od wojska urządzenie do stawiania dymnej zasłony na polu walki: dymną zasłonę przeciwczołgową – śmieje się profesor, opowiadając, jak to zrobili nad sadem mgłą, która miała drzewka uchronić od mrozu, ale... – Zmienił się kierunek wiatru i cała mgła zeszła nad drogę. Do dzisiaj mieszkańcy tamtych okolic opowiadają, że była taka gęsta, że autobus nie mógł przejechać.

WSZYSTKO W SWOIM CZASIE

Miał szczęście do mistrzów, którzy przekonywali go, by nie osiadał na lauretach. Że doktorat nie jest końcem, ale początkiem pracy. A kiedy obronił habilitację, to pojawiła się propozycja, by został prodziekanem Wydziału Przyrodniczo-Technologicznego.

– Prawdę mówiąc, nie byłem przekonany, czy powinienem startować.

WARTO WIEDZIEĆ...

Przed umówionym spotkaniem warto wiedzieć, że prektor najbardziej nie lubi, gdy... odbiera się rozmowy telefoniczne w trakcie spotkania.

Wszystko idzie dobrze, kiedy... nie zadaje zbyt dużo pytań.

Że jest zdenerwowany, poznać po tym, że... szybko kończy rozmowę.



Kolekcja termitów w parku Kakadu w Australii



Australijskie spotkanie z koalą



Zimare w środku: po Karkonoszach



Na szczycie Kitzsteinhornu w austriackich Alpach



Profesor ADAM SZEWCZUK

Stopień doktora nauk rolniczych uzyskał w 1993 roku na podstawie pracy doktorskiej pt. „Wpływ nawadniania kropłowego z jednoczesnym osłabieniem wzrostu elongacyjnego za pomocą retardanta na kwitnienie i owocowanie drzew brzoskwini”. Doktorem habilitowanym został w 2004 roku, na podstawie dorobku i rozprawy habilitacyjnej pt. „Skuteczność ściółkowania gleby w uprawie wybranych gatunków roślin sadowniczych przy różnych metodach sadzenia i prowadzenia drzew”. W latach 1997–2000 pełnił funkcję członka Komisji ds. Rejestracji Odmian Drzew Owocowych i Roślin

Jagodowych COBORU w Słupi Wielkiej. W latach 2008–2010 był członkiem Rady Naukowej Instytutu Sadownictwa i Kwiaciarnictwa im. Szczepana Pieniążka w Skierniewicach. Członek Polskiego Towarzystwa Nauk Ogrodniczych i Polskiego Towarzystwa Agronomicznego. Jest autorem lub współautorem 227 prac. Jego osiągnięcia naukowe dotyczą zagadnień związanych z nawadnianiem roślin sadowniczych, proekologicznych sposobów uprawy gleby w sadzie, sposobów ograniczenia wzrostu drzew poprzez zastosowanie podkładek, cięcia i niekonwencjonalnych sposobów sadzenia.

Z drugiej strony, jest taka opinia, że habilitacja daje adrenalinę, ma się po niej dużo pomysłów, zapału i chęci. A z trzeciej – poczułem, że może to jest czas, żeby się sprawdzić – mówi nowy prorektor do spraw rozwoju.

Jego wybór na prodziekana okazał się wyborem dobrym. Naturalnym kolejnym krokiem była funkcja dziekana, ale profesor Szewczuk zastrzega, że ta decyzja też wymagała zastanowienia.

– Człowiek dostaje szansę, ale też i bierze na siebie odpowiedzialność. Podobnie zresztą jest z funkcją prorektora. Dla mnie to jeden z istotnych elementów budowania struktury zarządzania

uczelnia, zarządzania nowoczesnie i elastycznie, ze świadomością wyzwań, jakie ją czekają – podkreśla profesor Szewczuk, który nie kryje, że nie boi się żadnej pracy. Bo gdyby się bał, to nie pojechałby na pół roku po obronie doktoratu do Australii – w krainie kangurów pracował fizycznie, by utrzymać żonę i dzieci czekające na niego w Polsce.

– Stawiałem i malowałem płoty, wymieniałem okna. Polacy wtedy zmonopolizowali rynek robót remontowo-budowlanych w Australii. A ja dzięki tym doświadczeniom naprawdę wiem, co to jest ciężka praca i szacunek dla tego, co robią inni – dodaje Adam Szewczuk.

PROREKTOR Z INNEJ STRONY

Są z żoną teatromanami. Nie opuszczają żadnego przedstawienia we wrocławskich teatrach, a ostatnio ogromne wrażenie zrobiła na nich sztuka „Śmierć i dziewczyna” Elfride Jelinek wystawiana w Teatrze Polskim. Chwałą też „Grimm: Czarny śnieg” Anki Herbut – za intrygujące efekty scenograficzne. Lubią podróże. Ostatnio zachwycają ich Alpy. Podróżują z kluczem – starają się poznać wybrane miejsca jak najlepiej. Kochają pieszę wędrówki. Ale to z podróży do Australii profesor chwali się zdjęciami z koala i opowieściami o krokodylach. •

Ministerstwo chce mocniej związać naukę z gospodarką

CZAS ZMIAN

Rok akademicki 2016/2017 będzie okresem wielu zmian na uczelniach w Polsce. Także na Uniwersytecie Przyrodniczym we Wrocławiu. Początek nowej kadencji rektorów i dziekanów – nawet w przypadku szkół, w których nastąpiła reelekcja, zawsze oznacza nowe plany i przedsięwzięcia. Wiele wskazuje, że na Uniwersytecie Przyrodniczym we Wrocławiu nowy zarząd uczelni oznacza zmiany dość głębokie.

Można powiedzieć, że powoli wygasa „epoka inwestycyjna”, kiedy uczelnia tworzyła nową i – co warto podkreślać – nowoczesną infrastrukturę. Kolejna to najprawdopodobniej „epoka gospodarcza” lub „industrialna” – jak kto woli, kiedy UPWr będzie budować znacznie głębszą niż dotychczas sieć powiązań z gospodarką. Ten kolejny etap rozwoju uczelni wydaje się logiczny w ciągu ostatnich kadencji, ale też absolutnie niezbędny ze względu na uwarunkowania zewnętrzne.

W tej chwili w Polsce studiuje 1,67 miliona osób. W ciągu dekady ta liczba spadnie do 1,25 miliona. Dla uczelni prywatnych to wyrok: według wielu szacunków (m.in. dane PKPP Lewiatan) do 2025 roku z 300 zostanie ich około pięćdziesięciu. Dla uczelni publicznych – tak czy inaczej demografia oznacza zmniejszoną liczbę studentów. A studenci to – jak wiadomo – ważny, jeśli nie najważ-

niejszy czynnik w wyliczaniu dotacji podstawowej.

Nawet jeśli Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego zdoła wprowadzić zapowiadane zmiany w finansowaniu uczelni, trzeba mieć świadomość, że nie ma większych szans, by uczelnie polskie choćby zbliżyły się do poziomu finansowania w bardziej rozwiniętych krajach Unii Europejskiej. I to nie tylko z powodu dotacji podstawowej, stanowiącej dziś mniej więcej 1/2 wysokości dotacji w UE. Głównie dlatego, że źródłem finansowania wielu potrzeb nauki w rozwiniętych krajach jest gospodarka, w której uniwersytety są jednym z ogniw biznesowego łańcucha.

Oczywiście – jak zawsze w dziejach, gdy jedna epoka przeraża się w kolejną – z perspektywy bieżących spraw często nie widać tych głównych, najbardziej znaczących trendów. Zwłaszcza że w tych aktualnych działaniach też ma-

my sporo zmian. Objęcie Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego przez doświadczonego polityka, jakim jest JAROSŁAW GOWIN, wyraźnie zdyktowało wiele procesów.

NOWE ZASADY FINANSOWANIA

Resort nauki chce, by już od 1 stycznia przyszłego roku obowiązywały nowe przepisy dotyczące finansowania szkolnictwa wyższego i nauki. Pod koniec kwietnia w ministerstwie powołano specjalny zespół, który ma się zająć analizą systemów finansowania. Przewodniczy mu wiceminister nauki dr hab. TERESA CZERWIŃSKA, która tuż po powierzeniu jej tego zadania w wywiadzie dla PAP mówiła: – Zasady przyznawania uczelniom środków mają być prostsze, a jakość nauczania i umiędzynarodowienie – bardziej doceniane.

MNiSW zamierza premiować powiązania uczelni z rynkiem pracy. Szkoły

wyższe nagradzane byłyby np. za śledzenie karier absolwentów i prowadzenie kierunków najlepszych z punktu widzenia rynku pracy, np. związanych z tzw. inteligentnymi specjalizacjami. Drugim celem jest pozyskiwanie najlepszych studentów z zagranicy.

– Teraz żaden kraj nie jest w stanie oprzeć swojej przyszłości na zasobach wewnętrznych – podkreśla minister Czerwińska.

Mniej więcej w tym samym czasie szef resortu, Jarosław Gowin, podczas spotkania w Łodzi mówił, że nadszedł czas, by kryterium w szkolnictwie wyższym nie była masowość, ale jakość i poziom nauczania. – Uczelniom musi się opłacać przyjmować mniej studentów, ale lepszych – podkreślał minister.

Tymczasem w środowiskach akademickich narasta przekonanie, że w dobie niżu demograficznego powiązanie wysokości dotacji podstawowej z liczbą studentów musi skutkować obniżeniem poziomu nauczania.

W cytowanym już wywiadzie dla PAP Teresa Czerwińska odniosła się do pytania, czy w nowym algorytmie pieniądze dla uczelni będą szły za studentem: – Dotacji dydaktycznej nie da się całkowicie odciąć od liczby studentów. To nieracjonalne. Będziemy ją dalej wiązać z liczbą studentów. Nie chcemy jednak, by liczba studentów była motorem napędowym funkcjonowania uczelni – skomentowała wiceminister.

Projekt zmian regulacji dotyczących finansowania uczelni ma trafić do parlamentu we wrześniu. W tej chwili pracuje nad nim specjalny zespół, który ma także uprościć algorytm dotyczący podziału dotacji podstawowej pomiędzy uczelnie (w skład zespołu weszli dr MAREK DIETL, prof. STANISŁAW KISTRYN, prof. JERZY WILKIN, prof. GRZEGORZ WROCHNA, dr MARIOLA ZALEWSKA i dr KRZYSZTOF ZAREMBA). W kwietniu weszła też w życie nowelizacja rozporządzenia w sprawie systemu informacji o nauce: aktualizacja danych w POL-onie odbywać się teraz będzie raz na pół roku, a nie co kwartał, wydłużył się czas na wprowadzanie zmian (do 2 miesięcy).

NOWE RAMY PRAWNE

Nim do Sejmu trafi nowe prawo o szkolnictwie wyższym, tzw. ustawa 2.0, Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

już opracowało dobrze przyjętą na etapie konsultacji nowelizację całego pakietu ustaw regulujących funkcjonowanie uczelni. Jak bardzo duże jest zapotrzebowanie środowisk akademickich na deregulację, odbiurokratyzowanie i jak najszybsze korekty, może świadczyć liczba pięciuset skierowanych do resortu propozycji zmian. Prof. JÓZEF SOWIŃSKI, przyszły prorektor Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, najlepiej opisuje sytuację: – Stworzyliśmy system, jednak to nie ten system służy nam, tylko my służyliśmy systemowi. To trzeba zmienić na własnym podwórku, ale i na poziomie krajowym.

– Nowa filozofia działania Polskiej Komisji Akredytacyjnej, zmiany w Krajowych Ramach Kwalifikacji i rzadsze oceny okresowe pracowników uczelni mają przyczynić się do poszerzenia wolności i ograniczenia biurokracji na uczelniach – twierdzi minister Jarosław Gowin. I wyjaśnia: – Eksperci PKA mają być nie kontrolerami, tylko mentorami, którzy pomagają uczelniom podnosić poziom edukacji.

Warto jednak podkreślić, że Krajowe Ramy Kwalifikacji nie zostaną zlikwidowane, bo bez nich nie byłoby możliwości uczestniczenia studentów i naukowców w międzynarodowych uniijnych projektach, mają jednak mieć bardziej racjonalny kształt.

POMYSŁ NA KONKURS

Konkurs „Ustawa 2.0”, ogłoszony przez ministerstwo, to wyjątkowe przedsięwzięcie, bo po raz pierwszy zaproponowano najbardziej zainteresowanym stworzenie założeń do dotyczącej ich ustawy. Na początku marca Jarosław Gowin ogłosił konkurs adresowany do środowisk akademickich, którego efekty mają stać się podstawą do stworzenia nowego prawa o szkolnictwie wyższym. Zainspirowało go do tego działanie duńskiego rządu z lat 90. Kompletna ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym ma być gotowa w 2019 roku. Wiadomo, że do konkursu na opracowanie założeń do ustawy wpłynęło 15 projektów. Przewodniczącym komisji konkursowej jest prof. TOMASZ DIETL – wybitny fizyk, pracujący obecnie w Instytucie Fizyki PAN, w Instytucie Fizyki Teoretycznej UW oraz Advanced Institute for Materials Research na Tohoku University.

– Autorytet profesora jest szansą, by zbudować nowy model nauki i szkolnictwa na miarę XXI wieku – przedstawiał przewodniczącego wicepremiera Gowina. A sam Dietl przy tej okazji mówił: – Ci, których reformy dotyczą, bardzo często ich nie chcą. To jednak dobry moment na wprowadzenie nowej ustawy. Ze względu na sytuację finansową uczelni w latach 90., na uniwersytetach mamy do czynienia z dziurą pokoleniową. Powoli zaczynają jednak dochodzić do głosu młodzi utalentowani naukowcy, którzy mają przed sobą wiele lat pracy naukowej. Liczymy, że to właśnie oni będą chcieli mieć swój udział w kształtowaniu polskich uczelni.

W skład komisji konkursowej, oprócz Tomasza Dietla, weszli: prof. JANUSZ BUJNICKI, prof. GRZEGORZ BENYSEK, dr KINGA KUROWSKA, prof. JAROSŁAW GÓRNIAK, BARBARA HETMAŃSKA, prof. ZBIGNIEW MARCINIAK, dr MAŁGORZATA ADAMKIEWICZ i prof. ŁUKASZ SUŁKOWSKI. Komisja konkursowa ma wyłonić trzy najlepsze projekty, a wybrane zespoły mają przystąpić do szerokich konsultacji społecznych.

Oczywiście trudno nie usłyszeć wielu głosów dystansujących się od konkursowego pomysłu wicepremiera Gowina. Obywatele Nauki w oświadczeniu, dla którego nie przygotowują projektu konkursowego, piszą, że nie jest jasne, jak zostanie wykorzystany materiał przygotowany przez trzy zwycięskie konkursowe zespoły. Zwracają też uwagę, że włączanie środowiska do dyskusji o prawie i przyszłym ustroju uczelni na zasadzie rywalizacji o granty i rozliczania się z realizacją projektu może zdejmwować odpowiedzialność z MNiSW.

Ale równocześnie ten sam społeczny ruch wyraził akceptację dla aktywnego udziału środowisk akademickich w formowaniu nowego prawa. Warto więc obserwować, jak potoczy się historia konkursu 2.0. Czy pomysł okaże się tylko politycznym, zgrabnym zagranem, obliczonym na doraźne potrzeby, czy to początek nowego sposobu kształtowania stosunków uczelnia–państwo, wpisujący się w zmiany bardziej ponadczasowe? Dyskusja, w jakim stopniu same środowiska akademickie, w tym wspólnota Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, są na nie gotowe – pozostaje zadaniem do odrobienia. •



Jaka jest rola
naukowców?

DZIELIĆ SIĘ WIEDZĄ

Doktor WŁODZIMIERZ KITA, fitopatolog i mykolog, opowiada o swojej fascynacji światem grzybów i o tym, dlaczego warto mieć zasady

••• **Co trzeba mieć w sobie, żeby chciało się chcieć?**

– Ale co chcieć?

••• **Jechać do szkoły do Zgorzelca, bo jej uczniowie zrobili ciekawy projekt i trzeba im pomóc, by kolejny był jeszcze lepszy.**

– Ja po prostu lubię dzieci i młodzież. A studenci kojarzą mi się z moimi własnymi dziećmi, które są już dorosłe – córka zbliża się do czterdziestki, syn ma w okolicach trzydziestki. Charakter pracy na uczelni sprawia, że cały czas mamy do czynienia z tymi samymi – wiekowo – ludźmi. Nie widzimy upływającego czasu i co tu kryć, to akurat jest przyjemność. A poza tym, ja po prostu lubię ludzi. Jeżeli ktoś mnie prosi, żebym przyjechał i powiedział coś ciekawego, a wiem, że reprezentuję stosunkowo rzadką dziedzinę wiedzy – bo

specjalistów z zakresu fitopatologii i mykologii jest w Polsce niewiele – to jadę tam, gdzie mnie chcą i chętnie opowiadam.

••• **I co Pan opowiada?**

– Różne rzeczy, bo przeciętny człowiek o grzybach, w których się specjalizuję, wie niewiele, ma za to dużo wobec nich uprzedzeń. Jak pani reaguje, kiedy słyszy, że jakieś pomieszczenie jest zagrzybione?

••• **Myślę, że to katastrofa, i wszystkim oczywiście winne są grzyby.**

– A to nieprawda. Większe znaczenie ma, że prawdopodobnie jest to pomieszczenie ciemne, zawilgocone i dopiero wtórnie w tych warunkach zadomowiają się grzyby. Ludziom wydaje się też, że one wszystkie są bardzo groźne,



Pająk oraz motyl zaatakowane przez grzyby. Na zdjęciu tytułowym – z małą purchawicą olbrzymią

a to też jest nieprawda. Niektóre owszem są groźne, ale inne już nie.

••• Dlaczego zajął się Pan właśnie mykologią?

– Jak to często bywa, przez przypadek. Dawno temu, na studiach, chciałem być specjalistą od techniki ochrony roślin. Opryskiwacze, środki ochrony roślin, dysze, stożki – bardzo mnie to fascynowało. Jednocześnie jednak byłem starostą grupy i mieliśmy do wyboru pisanie pracy magisterskiej: w zakładzie techniki ochrony roślin lub fitopatologii albo z entomologii. Ja oczywiście wybrałem technikę, ale okazało się, że nikt z naszej grupy nie chce się specjalizować w fitopatologii. Atmosfera zrobiła się fatalna. Do tego stopnia, że nawet grożono nam administracyjnymi przydziałami. My dla odmiany zaczęliśmy się buntować, że w takim razie pójdziemy wszyscy na dziekanki. Generalnie bardzo nieprzyjemnie się zrobiło, więc dla dobra sprawy – bo zawsze byłem ugodowo nastawiony do życia – powiedziałem, że pójdę na tę fitopatologię. I poszedłem.

••• Mykologia Pana wciągnęła i puścić nie chce.

– To jest przepiękny świat. „Na oko” widzimy zaledwie 400–500 gatunków. Dostrzegamy grzyby kapeluszowe, nadrzewne, ale lwia część tego świata, setki tysięcy gatunków, jest widoczna tylko pod mikroskopem i do tego nie ma nikt dostępu poza bardzo małą grupą ludzi.

••• To jest Pan wyróżniony.

– Tak, czuję się wyróżniony, ale mam też szczęście w życiu i od tego trzeba zacząć. Mam szczęście do spotykania ludzi ciekawych, do sytuacji rozmaitych. Gdybym tego szczęścia nie miał, pewnie nie rozmawiałbym z panią – na przykład z każdego wypadku samochodowego, a kilka ich miałem za młodu, wychodziłem czegoś nauczonego, ale bez szwanku.

••• A czego grzyby mogą nauczyć człowieka? Czy ten tajemny świat ma coś, czego ludzie mogliby mu pozazdrościć?

– Widzę, że pani wchodzi w filozoficzne tematy.

••• Oczywiście, przecież człowiek wcale nie jest panem wszechrzeczy, choć tak mu się wydaje.

– Gdyby próbować coś z tych grzybów wydostać, to inspirujące jest to, że po-

trafią sobie radzić w każdych warunkach. Dosłownie w każdych. Nie ma miejsca na ziemi, gdzie nie ma grzybów i są to też ekstremalne tereny, z ekstremalną temperaturą, wilgotnością. Są wszędzie, w różnej formie, albo przetrwalników, albo żywe. Opanowują wszystko. Nie wiem, czy pani była w Puszczy Białowieskiej, to tam wyjątkowo widać tę ekspansję. W rezerwa-

cie, gdzie się nie ścina i nie wywozi drzew, można oglądać grzyby, które na nich żyją. Gołym okiem widać każdą fazę rozkładu drewna przez grzyby. To bogactwo, które się wręcz w głowie nie mieści. Parę lat temu zainteresowałem się grzybami kapeluszowymi. Chodzę na wycieczki i fotografuję grzyby. I mam ambicję sfotografowania wszystkich, jakie w Polsce występują. Mam nawet kryterium dobrej wycieczki: jeśli pojedę gdzieś i uda mi się znaleźć, choćby i przypadkiem, chociaż jeden gatunek, którego jeszcze nie mam, albo w jakiejś bardzo ciekawej konfiguracji, tle, kształcie, to jestem zadowolony z wyjazdu. I w puszczy każdego dnia fotografowałem po 20–30 gatunków. Istne szaleństwo!

••• Są w tym świecie jakieś ograniczenia form, kształtów czy kolorów?

– Nie ma żadnych ograniczeń, są nawet grzyby, które świecą w ciemności. Ostatnio zajmujemy się w zakładzie bardzo ciekawym tematem.

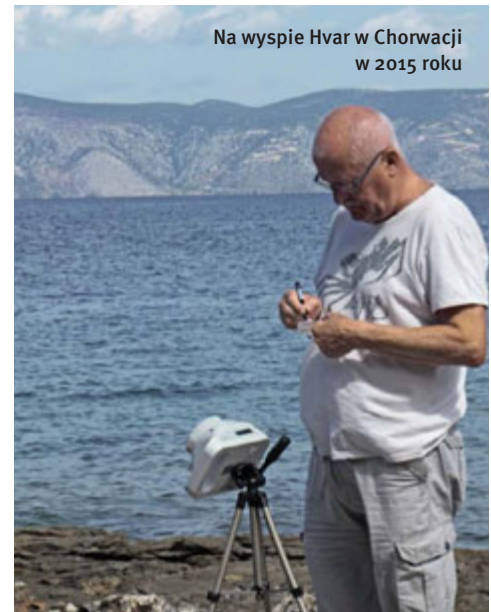
••• Jakim?

– Całe życie uczyliśmy się o grupie grzybów, która nazywa się owadomórkowce – niszczą owady, czyli tak jak są grzyby cho-robotwórcze dla nas, ludzi, to też są takie, które są szkodliwe dla owadów. Mówiąc obrazowo, owadomórki doprowadzają do tego, że owady chorują na „grzybicę”. Te chore owady, zaatakowane przez grzyby, można czasem spotkać w terenie, na przykład chroniony maczuźnik bojowy żyje na larwach owadów, w poszyciu, w lesie, ale niektóre z nich chowają się na zimę do ciemnych piwnic, zakamarków. I proszę sobie wyobrazić, odkryliśmy je w sztolniach na Dolnym Śląsku, w różnych sztolniach. Ba, nałapaliśmy wtedy również dużo zarodników grzybów z powietrza. Łapiemy je zresztą w różnych miejscach: w górach, w sztolniach, kopalniach węgla, KGHM. A wracając do naszych owadomórków, kiedy weszliśmy





W sztolniach Marcinków
w 2015 roku



Na wyspie Hvar w Chorwacji
w 2015 roku

do sztolni, zobaczyliśmy, na pierwszych 30–40 metrach korytarza, przyklejone do ścian owady – pokryte nalotem grzybnini, w przepięknych kształtach, kolorach. I to wszystko żyjące w całkowitej ciemności i ciszy.

••• Jakbyście przyjechali na inną planetę.

– Właśnie. Jak zaczęliśmy temat drażyć, okazało się, że te grzyby w pomieszczeniach podziemnych są wszędzie. W Międzyrzeckim Rejonie Umocnionym, w każdej sztolni, kopalni, ba, odwiedziłem kiedyś kolegę pod Lubaniem i w jego starym, pomieckim domu, w głębokiej i wilgotnej piwnicy, zobaczyłem pająki całe białe od grzybów.

••• I nie mieliście żadnych obaw, schodząc do tych sztolni? Przecież zna Pan słynną klątwę Kazimierza Jagiellończyka.

– Wcześniej była to klątwa faraonów. W tych kryptach – Tutenchamona i Jagiellończyka – żył podobno *Aspergillus flavus*, ale on jest dość powszechny w środowisku. Łatwo jest dorobić teorię do przypadkowych zdarzeń, a przecież nikt chyba nie stwierdził ewidentnie, że przyczyną tych zgonów była grzybica.

••• A co wiemy o grzybach z rodzaju *Aspergillus*?

– Fruwają jak inne w powietrzu, wszędzie. Gdyby nie pani sprawny system immunologiczny, pewnie już dawno byłaby pani nimi zarażona.

••• Czyli jednak może on zabić?

– Każdy grzyb może. Jeżeli ma pani grzybicę płuc, to dusi się pani skutecznie i długo. Oczywiście są grzyby szczególnie agresywne, chorobotwórcze i nimi się zajmuje mykologia lekarska, ale trzeba pamiętać, że atakują przede wszystkim osłabione organizmy. Zdrowe z grzybami dają sobie radę doskonale.

••• Występuje Pan często jako biegły sądowy. Co robi fitopatolog w sądzie?

– Bada i opiniuje. Komuś zdechły kury i chce wiedzieć, czy przyczyną ich śmierci była na przykład zagrzybiona pasza.



Badania grzybów
w oborach

Fitopatologia to dziedzina wiedzy wymagająca wiadomości z chemii rolnej, biologii, uprawy szczegółowej. Rośliny chorują nie tylko z powodu grzybów i wirusów czy bakterii, ale również przez złe środowisko, w jakim żyją.

••• To zupełnie jak ludzie.

– Właśnie tak. Jedne są przekarmione, a inne niedożywione. Mają zbyt wysoką lub za niską temperaturę, niewłaściwe pH gleby, źle dobrane nawożenie, czyli mówiąc obrazowo – jedzenie. Jeśli dodamy do tego działanie gazów przemysłowych, spalin, zasolenie, to otrzymujemy ogrom składowych, które decydują o tym, czy nasza roślina będzie chora czy zdrowa.

••• Nie myślimy o tym, że jesteśmy tylko elementem środowiska naturalnego?

– Odpowiem przewrotnie – dzielenie się wiedzą to jest prawdziwa rola naukowców. Wiedza, która nie idzie w świat, jak to kiedyś się mówiło, pod strzechy, jest wiedzą bezużyteczną.

••• Rozmawia Pan ze swoimi roślinami?

– Jestem pragmatykiem, do bólu. ☺

••• Czyli nie staje Pan przed krzakiem i nie mówi do niego – coś ty mi tu przywlokła, zarazo jedna?

– Nie mówię, bo ta zaraza, jak ją pani nazwała, też chce żyć i to jest zupełnie normalne. Grzybek na tym krzaku wcale nie jest gorszy od tego krzaka, tylko ktoś uznał, że tak jest. Umówmy się, to co jest chorobą, szkodnikiem, to jest rzecz umowna, bo przecież tak naprawdę to jest tylko i aż kolejny składnik środowiska naturalnego. Chociażby słynne korniki w Puszczy Białowieskiej to kwestia polityki, a nie choroby. Cykle, jakie następują w naturze, nas przerastają. Człowiek się spieszy, chce już, natychmiast. I chce zysku. Są przecież ludzie, którzy jadą w góry i od razu kamienie przeliczają na budulec. Są i tacy, którzy jadą do lasu i drzewa przeliczają na kubiki drewna.

••• Ma Pan zasady, dla których gotów jest Pan powalczyć?

– Tak, ale pomału mi przechodzi. Już nie walczę z głupotą, brakiem wyobraźni i wiatrakami – nie wygra się.

••• Czym jest w takim razie dla Pana odpowiedzialność społeczna?

– Pewną wrażliwością, cechą charakteru. Trzeba ją mieć, by czuć dyskomfort, wyrzucając w lesie pustą butelkę czy worek ze śmieciami. Nie przechodzić obojętnie wobec potrzebujących. Im jestem starszy, tym lepiej widzę, jak ważna jest edukacja. I to od przedszkola. Proszę zwrócić uwagę, że jest coraz więcej dzieci wychowanych przez rodziców w duchu szacunku wobec środowiska. One już wiedzą, co wolno, a czego nie wolno robić. Ba, potrafią kolegom zwrócić uwagę.

••• Czyli czym skorupka za młodu... A czego Pan uczy swoich studentów?

– Przede wszystkim staram się ich zrozumieć. Zupełnie, jakbym miał do czynienia z własnymi dziećmi. Nie skreślam za wpadki. Każdy u mnie na wejściu dostaje 100 punktów. Każdy. Pani też już je ma. I będzie je pani najwyższej tracić. Każdego człowieka, z którym się stykam, oceniam i kilku ludzi ma już tylko 1 punkt, i to tylko dlatego, że są. Mam też jeszcze paru bliskich znajomych, którzy wciąż te 100 punktów mają.

••• Zdarzyło się, że student czy uczeń podziękował Panu?

– Mam obsesję na temat palenia papierosów. Rzuciłem palenie 24 lata temu. Dlatego uzmysławiam moim studentom, ile tracą pieniędzy, zdrowia, estetycznych wrażeń w kontaktach z bliskimi. I wie pani, że mam sukcesy? Zdarza mi się, raz w roku czy raz na kilka lat, że ktoś zalicza u mnie egzamin, dostaje stopień i dziękuje, bo dzięki moim dydaktycznym „gadkom” rzucił palenie.

••• Tak po prostu?

– No nie, bo to przecież jest za każdym razem jakaś walka z samym sobą. Choć prawdę mówiąc, mamy za krótki kontakt ze studentami, by można było się z nimi bliżej żyć, lepiej poznać, dostrzec w nich konkretne osoby z konkretnymi problemami.



••• Ale przyciążamy ich za to nowymi kierunkami studiów.

– Ma pani na myśli medycynę roślin. To prawda, hołubimy ich na tym kierunku, inwestujemy w nich, ile się da, pokazując, że to jest rzadki i ciekawy zawód. Przeciętny Kowalski ma perspektywę kwiatka na parapecie, ewentualnie ogrodu przy domu, ale proszę sobie wyobrazić rolnika, który ma kilkadziesiąt hektarów upraw. Zarabia na nich miliony, inwestuje w nie wielkie pieniądze i nagle jego rośliny zaczynają chorować – wtedy z diagnozą wkraczamy my, medycy roślin. Tak naprawdę jesteśmy w stanie określić przyczynę wszystkich chorób, wszystkich roślin.

••• Ma Pan zasadę, którą kieruje się w życiu?

– Staram się być w porządku wobec wszystkich. Ważna jest dla mnie uczciwość i życzliwość dla ludzi. Nie radzę sobie z hipokryzją i chyba nigdy jej nie zaakceptuję. I unikam ludzi, którzy wychodzą poza normę, którzy nie szanują innych ludzi i ich poglądów, nietaktownych.

••• Jest Pan szczęśliwym dziadkiem.

– Niedawno synowa przysłała mi esemesa „Kasia wie, że dziadek jest fitopatologiem”, choć starsza wnuczka przekonała się do mnie, dopiero jak miała dwa lata. Wtedy pierwszy raz dała się wziąć na ręce. Teraz mówi do mnie „kocham cię, dziadziu”. Na wyznaczenie tej młodszej muszę poczekać, bo ma dopiero 9 miesięcy, więc jeszcze nie mówi. W przedszkolu, do którego Kasia chodzi, już wiedzą, co to jest fitopatologia, szykują się z zaproszeniem. Często biorę udział w zajęciach Uniwersytetu Dzieci, bo one są szalenie ciekawe świata, który je otacza. Tej ciekawości nigdy nie powinniśmy gubić, bo wtedy coś tracimy bezpowrotnie. •

Plebiscyt Kosa 2016

STUDENT BEZ DWÓI JEST JAK ŻOŁNIERZ BEZ KARABINU, ALE...

„Szukamy największej kosa na uczelni, wykładowców znanych z żelaznych zasad i braku litości, tytanów pracy nie tylko swojej, organizatorów waszego czasu wolnego i piątkowych wieczorów, bohaterów przedsesyjnych snów, pogromców maślanych oczu i finezyjnych żartów, najbardziej wymagającego psora, belfra, brzytwy, killera i jakkolwiek jeszcze ich nazywacie”.

Tym żartobliwym tekstem wezwaliśmy studentów do wybrania najbardziej wymagającego, ale i sprawiedliwego egzaminatora Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. Po raz pierwszy w marcu 2015 roku i ponownie, niedawno, zaraz po sesji zimowej – kiedy w pamięci studentów rany i trudy są jeszcze świeże.

Kandydatów do tytułu było wielu – co wydział, co kierunek, to faworyt. Po tygodniu głosowania i zmian lidera zwycięzcą został dr hab. ANDRZEJ MICHALSKI z Katedry Matematyki Wydziału Inżynierii Kształtowania Środowiska i Geo-

deзии. Na podium znalazły się także dr ELŻBIETA JAGIEŁŁO z Instytutu Inżynierii Środowiska, również na Wydziale Inżynierii Kształtowania Środowiska i Geodezji (w zeszłym roku na trzeciej pozycji) i prof. BARBARA KOSOWSKA z Katedry Genetyki Wydziału Biologii i Hodowli Zwierząt (zeszłoroczna zwyciężczyni).

JA – WYMAGAJĄCY?! NO MOŻE...

– Usłyszałem o tym w sekretariacie i pomyślałem – skąd tam moje nazwisko?! – bo uważam się za przyjaźnie nastaw-

wionego do studentów. Prowadzę trzy przedmioty: statystykę matematyczną, wybrane zagadnienia statystyki zaawansowanej i moją ulubioną algebrę liniową. I tak mi się wydaje, że to właśnie algebra się w tym roku przyczyniła... – opowiada dr hab. Andrzej Michalski, zapytany o reakcję na przyznanie mu przez studentów tak szczególnego wyróżnienia. – Do egzaminu w pierwszym terminie przystąpiło 85 osób, z których zdało może 30. Co w pewnym sensie jest też moją porażką, że studenci nie potrafią przebrnąć przez trzy, stosunkowo

łatwe zadania. Ale kilka osób z egzaminu zwolniłem – za aktywność, pracowitość, punkty zdobyte przy tablicy, na kartkówkach, sprawdzianach. Bo u studentów cenię rzetelność i pracowitość, nie lubię leni i spryciarzy. A dobrzy studenci nie są mi na egzaminie potrzebni, jeszcze będą podpowiadać – przynajmniej matematyk, dodając, że może jednak, może faktycznie zasłużył na tytuł Kosy.

Prof. Barbara Kosowska nie ukrywa: – Wiem, że jestem wymagająca, tego mnie nauczył mój mistrz – że musimy dawać wiedzę i uczyć wykorzystywać ją w praktyce. A dr Elżbieta Jagiełło, wykładająca chemię, dodaje: – Jestem wymagająca, ale chcę tylko, żeby studenci dobrze opanowali podstawy przedmiotu. Młodzi teraz wiedzą, gdzie szukać, mają możliwości, ale muszą wiedzieć, czego szukać i czy dobrze znaleźli.

PO PIERWSZE: NAUCZYĆ

– Nie rozumiem, jak niektórzy mogą pozwalać ściągać! Ja i tak ciągle słyszę od dr. TYMIŃSKIEGO „Elka, kogoś ty przepuściła, on nie umie masy cząsteczkowej policzyć!”. I chociaż, żeby u mnie zdać, akurat to musiał umieć, ale nie mam pojęcia, co studenci potem robią z tą wiedzą. Bardzo szybko im wszystko z głowy wylatuje – kontynuuje dr Jagiełło, która już w liceum wiedziała, że chce uczyć, i to właśnie chemii. Przynajmniej, że jej zawód to także jej największa pasja.

Z punktu widzenia matematyka w dydaktyce liczy się zaangażowanie: – Każdy kij ma dwa końce. Jeśli ktoś nie jest w stanie zainteresować swoim wykładem, mówi za cicho, niewyraźnie, chaotycznie, to jak może czegokolwiek wymagać. Nie ma nic gorszego niż nauczyciel, który nie uczy, a wymaga – mówi dr Michalski i zauważa, że najważniejszym punktem w statucie uczelni jest kształcenie i wychowanie, więc to obowiązek nauczycieli być dobrymi dydaktykami. A z uczenia też można czerpać dużą radość: – Ja dydaktykę najpierw musiałem polubić, a potem rzeczywiście polubiłem.

DO UPADŁEGO

Barbara Kosowska o swoich metodach nauczania mówi tak: – Ja od studentów

...kilka osób z egzaminu w ogóle zwolniłem – za aktywność, pracowitość, punkty zdobyte przy tablicy, na kartkówkach, sprawdzianach. Bo u studentów cenię przede wszystkim rzetelność i pracowitość, nie lubię leni i spryciarzy. A dobrzy studenci nie są mi na egzaminie potrzebni, jeszcze będą podpowiadać...

wymagam przede wszystkim myślenia. Uczę ich wykorzystywać swoją inteligencję, kojarzyć fakty. Chcę, żeby zadawali pytania, drążyli, byli ciekawi. Już nie prowadzę wykładów, mam seminaria – chodzę między studentami, bez przerwy ich o coś pytam, przypominam, że jeśli czegoś nie rozumieją, to powinni o tym głośno mówić. Oni się oczywiście bronią do upadłego, jakby ich ta wiedza miała zaraz zabić. Ale jak już zaczną mówić, to okazuje się, że wszystkie dzieci rodzą się inteligentne, tylko niektóre idą potem do niedobrej szkoły – pani profesor ma cięty język i olbrzymie poczucie humoru, ze studentami najbardziej lubi żartować, nie

szczędzi im ciętych ripost, ale pilnuje, by nikt nie poczuł się urażony.

Do szkoły średniej pewne pretensje ma też dr Jagiełło: – Studenci przychodzą bez podstaw. Nie wiedzą, co to jest chlorek sodu albo jak zapisać symbolami chemicznymi wodorotlenek sodu.

Oczywiście są wyjątki, ale wyrównywanie poziomu trwa bardzo długo – egzamin z chemii to 5 pytań, 5 punktów do zdobycia, 50 proc. potrzebnych do zdania, chociaż zazwyczaj kończy się na obniżeniu progu do 30 proc. Inaczej prawdopodobnie nie zdałby prawie nikt i, jak śmieje się egzaminatorka, dopiero wtedy byłaby prawdziwą kosą. Zdarzają się też studenci powtarzający chemię nawet cztery razy.



Doktor habilitowany
Andrzej Michalski:
– Uważam się
za przyjaźnie
nastawionego
do studentów





Doktor Elżbieta Jagiełło: – Chcę tylko, by studenci dobrze opanowali podstawy przedmiotu

– Na ustnej poprawce owszem, czasem ktoś siedzi u mnie nawet dwie godziny, dopytuje, próbuję ratować... Mam wrażenie, że czasami studenci sami się wykluczają, wbijają sobie do głowy, że statystyka jest trudna, nie do przejścia i tak tkwią w tym przekonaniu – mówi dr Michalski i dodaje: – Matematyki nie da się wykuć. Na egzaminie nie za bardzo da się też ściągać, bo poza poprawnym wynikiem liczą się też obliczenia. A młodzi ludzie nie są w szkole przygotowywani do myślenia, wnioskowania, uczą się na pamięć, do testów.

W kwestii ściągnięcia wszyscy są zgodni: studenci nieustannie próbują, kombinują, w ruch idą już nie tylko tradycyjne, papierowe karteczki z mikroskopijnym tekstem czy długopisy z ukrytą związaną „pomocą dydaktyczną”, ale i telefony, smartwatche, słuchawki w uszach... Ciągle nowe metody, techniki, gadżety. Chociaż czasami zwyczajnie łatwiej i szybciej byłoby się nauczyć.

MISTRZ I PRZYJACIEL

– Zaczynałam od młodszego asystenta i wykonywałam wtedy takie czynności, jak mycie popielniczek. Uczyłam się od podstaw – śmieje się prof. Kosowska, opowiadając o początkach pracy z założycielem Katedry Genetyki UPWr i jej najdłużej, bo ponad 40 lat urzędującym kierownikiem, prof. BOLESŁAWEM NOWICKIM: – Potem dostałam zaszczytu bycia asystentem i przez 30 lat cho-

dziłam z profesorem na wykłady. To mnie ukształtowało na całe życie. Zresztą całe pokolenie, które się przy nim wychowywało, czyli wszyscy profesorowie naszej katedry, mają wdrukowane jak imprint genomowy, że dydaktyka jest święta, że my jesteśmy wzorcami, nie można niczego odpuścić. Tego się nie dyskutuje, to jest aksjomat.

Andrzej Michalski poznał profesora STANISŁAWA GNOTA jeszcze na studiach – był promotorem jego pracy magisterskiej, później również doktoratu. – Był nie tylko moim mistrzem, ale i przyjacielem. Łączył nas sport – mieliśmy nawet swoją drużynę piłkarską, grzyby... Rywalizowaliśmy na grzybobraniach, najpopularniejsze gatunki, jak podgrzybek, były w naszej klasyfikacji za 1 punkt, za to borowiki czy prawdziwki za 10. Kto przegrał, ten po grzybobraniu stawał piwo. On mnie uczył, dawał wskazówki, od niego przejąłem te wartości, żeby do każdego studenta być nastawionym obiektywnie i przyjaźnie. Ale dzięki Staszce stałem się przede wszystkim naukowcem – matematyk przynajmniej również, że pierwsze sesje, na których występowałem już w roli egzaminatora, prowadził właśnie z prof. Gnotem. I chociaż oblałem czasem studentów, to na pewno nie był jeszcze wtedy tak surowy.

Doktor Jagiełło wspomina natomiast swoją pierwszą nauczycielkę chemii i cenne rady od taty: – Prowadziłam za nią czasami lekcje w liceum i czułam się bardzo ważna. Ona mnie trochę roz-



Profesor Barbara Kosowska jako pierwsza zdobyła przyznany przez studentów tytuł Kosy



Dziesięć przykazań zdającego egzamin

1. Pamiętaj o śniadaniu.

Twój mózg potrzebuje paliwa, by dobrze pracować. Czy będą to jajka na miękko, czy owsianka z orzechami, wybór należy już do Ciebie.

2. Wyśpij się.

Kolejna mocna kawa lub herbata-siekiera nie zmobilizują Cię do pracy, jeśli każda komórka Twojego ciała będzie krzyczeć „chcę spać!”

3. Wyeliminuj z otoczenia to, co Ci przeszkadza.

Telefon schowaj do pawlaczka, a najlepiej idź do biblioteki – tu nikt Ci nie będzie zakłócał skupienia.

4. Notuj to, co najważniejsze z tego, co powtarzasz.

W notesie, na karteczkach, w zeszytach, na marginesach podręcznika. To najlepszy sposób na utrwalanie materiału.

5. Porozmawiaj z kimś inteligentnym, czyli z samym sobą.

Powtarzaj sobie na głos szczególnie ważne sprawy, przełam własny opór i nagrywaj swoje odpowiedzi na przykładowe pytania. Zobaczysz, że od razu pójdziesz Ci lepiej.

6. Zaczniij chodzić, jeśli tak Ci się lepiej myśli.

Albo co pół godziny stań na głowie. Każdy ma jakiś sposób na zmobilizowanie organizmu i wzrost stanu skupienia ☺.

7. Zapomnij o działaniu akcyjnym.

Tak, trąci nudą, ale to systematyczność jest matką sukcesu, czyli zdanego egzaminu.

8. Kiedy szykujesz się do egzaminu, wejdź w sam środek materiału,

który zdajesz. Dosłownie – na biurku, przy łóżku, w torbie, na stole – **na wyciągnięcie ręki trzymaj potrzebne do nauki książki i notatki.** I nie traktuj ich jak wyrzutów sumienia!

9. Odpoczywaj!

Kiedy czujesz, że już nie dajesz rady i mózg odmawia Ci posłuszeństwa, połóż się, idź na spacer, utnij sobie drzemkę.

Pamiętaj, z niewolnika nie ma pracownika!

10. Masz słabą motywację? Pomyśl, jaką nagrodę sobie sprawisz,

kiedy w końcu zdasz ten egzamin. Kino? Koncert? A może wypad w góry? Wybór należy do Ciebie. Pod warunkiem, że egzamin zdasz...

pieściła, a chemia zawsze przychodziła mi z wielką łatwością, już wtedy chciałam być nauczycielką. Ale to tata doradzał mi najlepiej – żebym poszła do liceum, zamiast do technikum chemicznego, bo może pokocham jeszcze jakieś inne przedmioty, żebym na studia wybrała politechnikę, nie uniwersytet, bo może będę chciała pracować w przemyśle, i żebym poszła na studia magisterskie, a nie spieszyła się od razu do doktoratu, bo może uczenie nie będzie mi się podobało jednak tak bardzo. I chociaż w końcu i tak zostałam nauczycielem chemii, zawsze byłam mu wdzięczna za te rady – opowiada chemiczka, która swój pierwszy wykład zapamięta do końca życia: – Trafiłam do sali audytorijnej, w której siedzenia szły tak ostro, błyskawicznie do góry. Poczułam się malutka. Byłam przeżrana. Wykład miałam przygotowany na 15 stronach papieru kancelaryjnego i czytałam go tak szybko, że gdy na koniec zostało mi jeszcze 15 minut, nie wiedziałam, co zrobić. Spojrzałam na studentów i spokojnie zaczęłam podsumowywać, a oni odetchnęli z ulgą, bo wcześniej nie byli w stanie nawet nic zapisać. Do dzisiaj nie lubię tej sali.

TEŻ BYŁEM STUDENTEM

Elżbieta Jagiełło wspomina też swoje studia i potyczki egzaminacyjne: – U mnie wszyscy byli wymagający. Nie było mowy o ściąganiu, musieliśmy być przygotowani na każde zajęcia, a egzaminy traktowało się bardzo poważnie. Ale kiedyś własna buta mnie zgubiła. Na drugim roku, na egzaminie z chemii fizycznej, wydawało mi się, że zjadłam wszystkie rozumy, i próbowałam polemizować z prof. LUTYM. Na komisie tak mi się kolana trzęsły, że ławka, przy której siedziałam, cała chodziła. Profesorzy się na niej oparli, żeby jakoś nie było tego widać. Wtedy sobie powiedziałam – nigdy więcej żadnych poprawek.

Podobne wspomnienia ma prof. Kosowska: – Ode mnie też wymagano na studiach i jestem za to wdzięczna. Profesor Nowicki oblał mnie na pierwszym terminie i jeszcze dodał „Dziecko, daj ci dwójkę, żebyś nie myślała, że coś umiesz”. Tak się zawstydziałam, że na każdym następnym egzaminie dostawa-

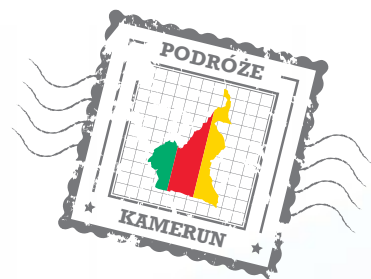
łam już piątkę. I ja też nie mogę dawać ocen za nic, przecież ktoś mi płaci za to ciężkie pieniądze, ktoś mi zaufał, więc to jest mój etyczny-moralny obowiązek, żeby tę wiedzę egzekwować. Poza tym tak mnie profesor nauczył, tak będzie i koniec – dodaje pół żartem, pół serio.

Doktor Michalski przypomina sobie natomiast, jak z kolegami z roku próbowali udobruchać jednego z prowadzących: – Na czwartym roku mieliśmy egzamin z procesów stochastycznych i wiedzieliśmy, że to nie będzie egzamin łatwy. Postanowiliśmy udobruchać egzaminatora na seminarium wyjazdowym w Dusznikach-Zdroju. Graliśmy w brydża, chodziliśmy na wędrowniki

po górach, parzyliśmy mu kawę, trochę się nawet zaprzyjaźniliśmy. Egzamin i tak był trudny, oceny raczej słabe, ale chyba nikt nie oblał. Raz nam się też upiekło – prowadząca podstawy logiki, postrach ze słyszenia już od początku studiów, zaszła w ciążę i na egzaminie zastępował ją już asystent: młody, miły, znacznie łagodniejszy – jednak jak wiadomo, student bez dwóji w indeksie, to jak żołnierz bez karabinu, więc i największej kosie zdarzyła się poprawka: – W pierwszym terminie nie zdałem algebry, co zresztą nie było specjalnym zaskoczeniem, skoro ze 150 osób zdało tylko 15. Na drugi termin ryłem za to całe wakacje. •

Piotr Nowakowski

DOTKNAŁEM INNEGO ŻYCIA W KAMERUNIE



Trudno mi uwierzyć, że tam byłem. Splot okoliczności zwany losem zaprowadził mnie do krainy, którą znałem z młodości i tylko z książek wrocławskiego pisarza Kamila Giżyckiego – podróżnika po Azji i Afryce. Pojechałem do Kamerunu dzięki nowo tworzonemu kierunkowi Podstawy dla rolnictwa tropikalnego, z którym jestem związany.

Podstawy dla rolnictwa tropikalnego otworzyliśmy rok temu. Nie przyjęliśmy jeszcze żadnego studenta na ten kierunek, ale posiadając w ofercie Uniwersytetu Przyrodniczego egzotyczną nazwę, wyróżniamy się w krajowej ofercie edukacyjnej i nas znajdują. W ten sposób bowiem dotarła do nas Fundacja im. Stefana Szolc-Rogozińskiego „Serce dla Afryki” (www.sercedlaafryki.com), zajmująca się między innymi adopcją na odległość – wspieraniem edukacji dzieci i młodzieży kameruńskiej. Jej przedstawiciele złożyli wizytę rektorowi ROMANOWI KOŁACZOWI i... tak wir zdarzeń mnie porwał.

CZAS PRZYGOTWAŃ

Zanim jednak dotarłem do Kamerunu, konieczna była cała masa przygotowań. Najpierw obowiązkowe szczepienie przeciwko żółtej febrze i wielu innym chorobom panującym w tym kraju. Tak zwana żółta książeczka potwierdzająca wykonanie owych szczepień jest podstawą do otrzymania wizy i przekroczenia granicy. Przekonaliśmy się o tym szybko już na miejscu, w Afryce, gdzie jest ona ważniejsza od paszportu. Dlaczego szczepienia są ważne? W Kamerunie powszechną chorobą jest malaria, często jej przebieg jest dramatyczny i prowadzi do śmierci chorego. Co gorsza, nie ma na nią szczepionki, można tylko zabezpieczać się, biorąc w trakcie pobytu leki antymalaryczne. Wizyta u specjalisty, zmniejsza ryzyko zachorowania na tę groźną chorobę.

Do Kamerunu nie pojechałem sam. Razem ze mną w wyprawie udział wzięli prezes Fundacji ADAM GARDYNIK, PATRYCJA JENCZMIONKA-BŁĘDOWSKA, redaktor Radia Rodzina z Wrocławia, oraz ELŻBIETA KRÓL – fundatorka edukacji jednej uczennicy w ramach programu „Adopcja na odległość”. Każdy z nas miał inny cel, moim było zorientowanie się w możliwościach nawiązania współpracy na polu edukacyjnym

i badawczym z uczelniami Kamerunu oraz zapoznanie się ze stanem rolnictwa i środowiska tego kraju. Był też jeszcze jeden akcent naszego wyjazdu: Konsulem Honorowym RP jest absolwentka Politechniki Wrocławskiej MIROSŁAWA STOGA.

TYLE RÓŻNIC

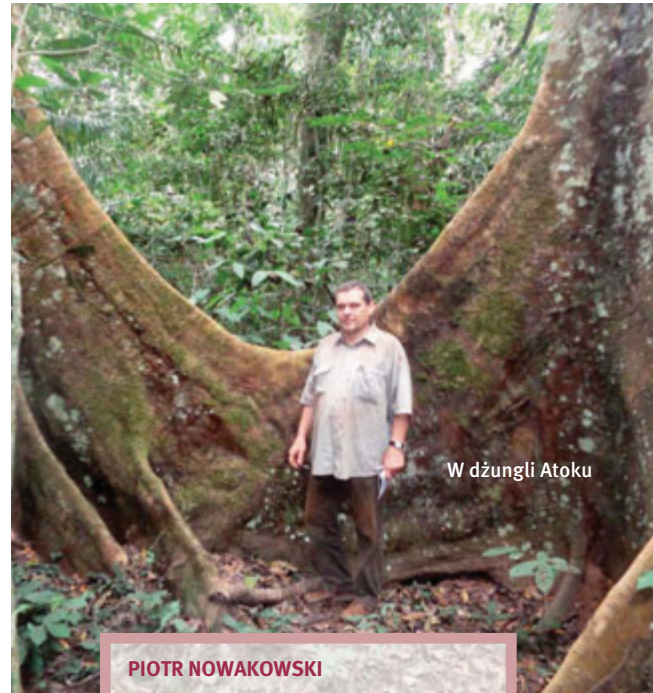
Lot z Brukseli do Yaounde trwał 7 godzin – do pokonania mieliśmy około 5400 km. Przejazd w godzinach wieczornych przez stolicę Kamerunu robił wrażenie: tłumy ludzi na ulicach przy różnych kramach, rój taksówek i motocykli-taksówek oraz koncert cykad.

Oczywiście po pierwszym oszołomieniu przyszła pora na działania. Wizyta na jednym z uniwersytetów w Yaounde to rozdzwięk pomiędzy kolorowo ubraną młodzieżą a siermiężnymi warunkami ponurych, ale chłodnych sal wykładowych. Na Uniwersytecie Yaounde I studiuje blisko 50 tysięcy studentów, a na Wydziale Nauk, który najbardziej profilem zbliżony jest do naszej uczelni, ponad połowa, bo 27 tysięcy.

Edukacja jest płatna. Teoretycznie ceny nie są wygórowane, bo rok studiowania, włącznie z utrzymaniem się w akademiku, kosztuje 600 euro. Ale to kwota relatywnie mała w Europie, bo na kameruńskiej wsi 10–12-osobowa rodzina utrzymuje się za jedno euro... dziennie!

AFRYKA W MINIATURZE

Kamerun to kraj o powierzchni 1,5-krotnie większej od Polski, zamieszkały obecnie przez ponad 20 mln ludzi przynależących do ponad 275 grup etnicznych. Nazywany jest Afryką w miniaturze, gdyż posiada większość stref klimatycznych tego kontynentu. Granice kraju zostały arbitralnie nakreślone historią kolonialną



W dżungli Atoku

PIOTR NOWAKOWSKI

Pracuje w Zakładzie Hodowli Owiec i Zwierząt Futerkowych. Specjalizuje się w systemach utrzymania owiec związanych z naturalnym środowiskiem (uproszczone technologie owczarskie), mieszanym wypasie przeżuwaczy (owce, kozy, bydło i inne), rozrodzie owiec i odchowcie jagniąt, chowie małych przeżuwaczy udomowionych (lama) i nieudomowionych (muflon, daniel). W swojej pracy habilitacyjnej zajął się doskonaleniem cech rozrodczych maciorek poprzez selekcję tryków rasy merynos polski.

tego obszaru – byli tu Portugalczycy, Niemcy, Anglicy, Francuzi – i budowanie państwowości w takich warunkach budzi respekt i podziw.

Państwo kładzie akcent na rozwijanie sieci szkół publicznych i wzbudzenie wiedzy wśród młodego pokolenia. We wszystkich placówkach edukacyjnych dzieci i młodzież trenują marsze ze śpiewem, flagą i portretem prezydenta już na dwa tygodnie przed jednym z głównych świąt narodowych, jakim jest Święto Młodości, obchodzone 11 lutego. Tego dnia, po wysłuchaniu transmitowanego



Szefowie wiosek

Mielenie manioku

Los kobiet w kopalni złota nad rzeką Lom

Z wizytą u czarownika

Święto młodości

Dzieci nosiwoły

przemówienia prezydenta Paula Biya, cała młodzież – od przedszkolaków poczynając, maszeruje w lokalnych defiladach przed przedstawicielami władzy. Innym elementem jednoczącym plemiona i naród jest oczywiście sport, a dokładniej piłka nożna.

Mimo ogólnego pędu do kształcenia i wiedzy istnieje tutaj jednak ruch ekstremistyczny związany ze skrajnymi odłamami islamu – Boko Haram, którego nazwę interpretuje się jako „zakazac zachodniej oświaty”. Boko Haram

dopuszcza się zamachów, porwań, a członkowie bojówek odpowiadają za bestialskie mordy uczniów i nauczycieli. W trakcie mojego pobytu w lokalnej szkole podstawowej w Bertoua zatrzymano dwie 7-letnie dziewczynki obwiezione ładunkami wybuchowymi, a w lasach odkryto zwłoki czterech osób.

PO PROSTU ŻYCIE

W przewodniku po Kamerunie można przeczytać, że większość zapotrzebowania na energię kraju jest zaspokaja-

na z energii odnawialnej – energii wodnej. Ale na wsiach nie ma elektryczności, a miasteczka często mają przerwy w dostawie prądu i wtedy w użyciu są agregaty prądotwórcze – przy cenie benzyny rzędu 1 euro za litr!

Sytuacja demograficzna tego kraju jest bardzo dynamiczna – z 4,5 mln obywateli w roku 1950 społeczeństwo „urozło” do obecnych ponad 20 mln, przy udziale ponad 40 proc. w populacji ogólnej dzieci do lat 14 (w Polsce ten wskaźnik to <15 proc.). Średnia dzietność

kobiet to pięcioro dzieci, przy oczekiwanej długości życia ok. 54 lat. Zmiany demograficzne odbijają się negatywnie na jakości środowiska, które w 78 procentach stanowią tereny zadrzewione, a więc puszcze i sawanny. To one głównie są podstawą wyżywienia Kameruńczyków. Wiele upraw historycznie związanych jest z gospodarką przemienną na terenach zadrzewionych (wypalanie, uprawa i odłogowanie). Źródłem białka zwierzęcego jest wszystko, co się rusza w puszczy czy na sawannie; tzw. bushmeat, czyli dziczyzna. Jada się węże, jaszczurki – warany, pancerniki, małpy, antylopy, a także kłusuje, niestety, gatunki objęte ścisłą ochroną, w tym słonie i goryle.

Jeszcze kilkanaście lat temu wokół wiosek, według bezpośredniej relacji mieszkających tu Europejczyków, roilo się od małp i innych dziko żyjących zwierząt. Obecnie to pustynia. W trakcie mojego pobytu młodzież z puszczańskiego miasteczka Atok jechała do ogrodu zoologicznego do stolicy, by poznać lokalną kameruńską faunę!

Dziwne? Niekoniecznie – w ciągu trzech tygodni pobytu i po przejechaniu ponad 3500 km lokalnymi drogami przez puszcze i sawannę nie zobaczyłem żadnego ssaka lokalnej fauny. To skutek też i tego, że pierwotna puszcza pod presją demograficzną ludności jest wypalana do celów rolniczych, a budowa dróg – jako przejaw postępu cywilizacyjnego – pozwala na eksploatację drewna na dużą skalę. Wielkie specjalistyczne samochody wywożą największe puszczańskie pnie na eksport do portu Douala...

Budowa współczesnej infrastruktury komunikacyjnej jako postęp cywilizacyjny ma jednak ogromnie negatywny wpływ na lokalne społeczności. Nowe drogi i transport dóbr na duże odległości zwiększyły mobilność ludności i przyczyniły się do rozpowszechniania epidemii HIV na do tej pory izolowane lokalne społeczności.

Jak wynika z obserwacji epidemiologicznych, rozprzestrzeniane wirusa zaczyna się od skrzyżowań dróg, gdzie gromadzą się zarówno przyjezdni, jak i miejscowi.

SZOKUJĄCE TRADYCJE

W wioskach rzuca się w oczy klepisko wokół domostw, które jest codziennie

zamiatane – tak mieszkańcy zabezpieczają się przed węzami i skorpionami. Wokół kręcą się swobodnie pojedyncze kury, kozy, owce i czasami świnię – świadczy to o braku drapieżników. Są też pojedyncze psy i bardzo rzadko koty. Koty w tym kręgu kulturowym nie mają łatwego życia – Kameruńczycy wierzą, że zjedzenie kota zapewnia powrót w rodzinne strony, więc zwierzęta te są poszukiwane do celów kulinarnych. Stare, niedołożne psy też są cennym źródłem białka, tyle że po obiciu jeszcze za życia, by mięso było kruchsze.

We wsiach widać współczesne tablice informujące o finansowaniu budowy latryn. Wygląda to optymistycznie, gdy się nie wie, że w tutejszych wierzeniach odchody mogą służyć do celów magicznych i ktoś może poprzez nie rzucić na kogoś urok. Ludzie boją się więc korzystać z udogodnień higienicznych i cel jest częściowo chybiony. Podobnie jest z pochówkami zmarłych, których grzebie się przy domach, a w pewnych rejonach pod klepiskiem lub progiem chaty, tak by ich kości nie mogły zostać użyte do celów magicznych.

Pewien lokalny czarownik, nazywany tu szamanem lub marabou, w tym roku odkupił prawa do kości od rodziny zmarłego za zawrotną sumę ok. 1500 euro. Oczywiście do czarów.

RODZINA, CZYLI...

Funkcjonowanie więzi rodzinnych jest tu bardzo skomplikowane lub bardzo proste (to zależy od punktu widzenia). Małżeństwa wśród katolików zawierane są, kiedy wola i sytuacja materialna pozwolą. Gdy para zdecyduje się na ślub, często ma już podrośnięte dzieci. Co więcej, owa decyzja oznacza sfinansowanie trzech ceremonii ślubnych: pierwszej w ramach plemienia, drugiej w urzędzie stanu cywilnego i trzeciej – zawartej w kościele. Między kolejnymi uroczystościami może upłynąć nawet wiele miesięcy potrzebnych na uzbieranie zasobów na kolejną fetę. Jednak najbardziej kosztowny jest pogrzeb.

Zgodnie z tutejszymi wierzeniami, jeżeli się znało zmarłego, należy być na jego pogrzebie, bo nieobecność jest przyznaniem się do odpowiedzialności za jego śmierć. W związku z tym pogrzeby trwające całą dobę, łącznie z całonocnym czuwaniem, mogą gromadzić na-

wet ponad 1000 osób, które oczywiście należy ugościć. Nowoczesność odciska swoje piętno i na tym rytuale – większa mobilność ludzi, rozwój dróg i telefonii komórkowej sprawił, że sieć powiązań jest o wiele szersza dzisiaj niż w przeszłości, gdy na smutnej uroczystości spotykali się tylko mieszkańcy danej wioski.

Szczególnie trudno jest Europejczykowi pozostać obojętnym na kwestie tzw. reprodukcji. Muzułmanie wydają za mąż 12-letnie dziewczynki – dziecko płci żeńskiej wartość osiąga dopiero wtedy, gdy jest zdolne do rodzenia. Wtedy można je „sprzedać” za mąż. Zamężna dziewczynka musi dbać o mężczyznę i o dzieci. To kobieta jest bowiem główną siłą roboczą społeczeństwa i dlatego symbolem Kamerunu jest sylwetka (figurka hebanowa, obraz, zdjęcie) kobiety, z uwiązaniem na plecach tobołkiem z niemowlęciem, która na głowie niesie dobro: towar do sprzedania, drewno na opał, wodę, pranie...

W kameruńskiej rzeczywistości to normalne, że za taką kobietą kroczy kilkoro dzieci w różnym wieku, z których najstarsze niesie na plecach młodszego braciszka lub siostrzyczkę. Dzieci bowiem już od najmłodszych lat są zatrudniane do prac domowych: noszenia wody, drewna, młodszego potomstwa, choć oficjalne zatrudnianie jest zgodne z prawem od 14. roku życia.

Ale co równie uderzające – mimo zaangażowania w często ciężką pracę – tutejsze dzieci są uśmiechnięte, działają zawsze w grupie i w ten sposób uczą się odpowiedzialności za społeczność, w której żyją. •

PODZIĘKOWANIE

By zrozumieć kraj i jego mieszkańców, trzeba doznać jak najwięcej codziennego życia – udało mi się to dzięki uprzejmości siostry TADEUSZY (HELENY) FRĄCKIEWICZ OP, dominikanki z misji w Garoua Boulai, która jako osoba akceptowana przez lokalnych mieszkańców wprowadziła mnie i moich współtowarzyszy do wiosek w interiorze Kamerunu. A poznanie z bliska różnic kulturowych i cywilizacyjnych pozwoliło mi na nabranie szacunku do różnych form egzystencji ludzkiej.

Nowoczesne spojrzenie na fortyfikacje sposobem na rozwój

HISTORIA W CIENIU DRZEW

Fortyfikacje miejskie budzą zainteresowanie nie tylko pasjonatów historii. Coraz częściej wykorzystywane są jako lokalne atrakcje i nowoczesny element rozwoju miasta.

W ostatnich latach w Polsce rośnie zainteresowanie zabytkowymi fortyfikacjami. Wiele miejsca poświęca się też zieleni w mieście, szczególnie przy zabudowie mieszkaniowej na obszarach zajmowanych do tej pory przez ogrody działkowe lub zabytkowe fortyfikacje. W mediach nie brakuje informacji dotyczących odkryć zakopanych niegdyś schronów, jak i ukazujących protesty społeczne przeciwko usuwaniu zieleni albo wyburzaniu fortyfikacji z różnych okresów historycznych pod infrastrukturę drogową lub osiedla mieszkaniowe. Liczne grupy i stowarzyszenia lokalne, trochę na znak protestu, czasem przekornie i z pasją, opiekują się pojedynczymi schronami na terenie całego kraju. To dzięki nim możemy się cieszyć możliwością zwiedzania wielu odrestaurowanych historycznych budowli. Nie jest to zresztą specyfika Polski, ale tendencja widoczna w całej Europie.

Na tym tle Wrocław nie odbiega w zasadzie od innych miast, może za wyjątkiem braku muzeum dotyczącego fortyfikacji, takiego jak na przykład w **Fortcie Gerharda w Świnoujściu**. Wspominając jedynie większe obiekty, w **schronie przeciwlotniczym przy placu Strzegomskim** znajduje się siedziba Muzeum Współczesnego Wrocławia. Na swoją szansę nadal czeka **schron pod placem Solnym** z 1943 r., który w grudniu 2015 r. został wpisany do rejestru zabytków. W tym samym roku, w maju, do rejestru trafił również **schron 9 przy ul. Pełczyńskiej**, gdzie prowadzone są ciekawe prace zmierzające do udostępniania obiektu. Zachowano i odrestaurowano także **schron 1 przy ul. Dembowskiego**, wokół którego powstały budynki wielorodzinne. Kilka obiektów fortecznych jednak bezpowrotnie utraciliśmy, w tym **schron 13 przy ul. Grabiszyńskiej**, **fort 17 w Wysokiej** czy **dwa schrony przeciwlotnicze (naziemny**

i podziemny) przy Dworcu Głównym PKP we Wrocławiu.

Tam, gdzie nie ma możliwości wprowadzenia zieleni w miejsce wyburzanych schronów, jedyną alternatywą nie powinna być zabudowa mieszkaniowa. Historyczne fortyfikacje oferują gotowe zielone dachy i wykonane ręką człowieka formy ziemne (np. wały, nasypy), urozmaicające na ogół płasko ukształtowany teren zdominowany przez plejadę różnokolorowych dachów budynków.

Jako architekt krajobrazu szczególnie interesują mnie fortyfikacje wzniesione w okresie XIX–XX wieku, głównie na ówczesnych terenach podmiejskich, oraz związane z nimi historyczne uprawy forteczne. Znaczną ich liczbę zlokalizowano wzdłuż rzek, co sprzyja włączeniu fortyfikacji – na przykład w proponowany obecnie park Ślęzy – jako cennych elementów dziedzictwa kulturowego.



Wzgórze Polskie we Wrocławiu

POTĘGA ARMII

W **Twierdzy Wrocław** największe forty piechoty (np. fort 6, 1891–1910) składały się ze schronu koszarowego (dla 250 żołnierzy i 4 oficerów), do którego ceglanej elewacji z czasem dostawiono betonowy płaszcz mieszczący komory wentylatorów. Wokół tak zmodernizowanego schronu o zmniejszonej już obsadzie wzniesiono schron wartownię (6–12-osobową), dwa schrony pogotowia (12–24-osobowe), betonową pozycję strzelecką, wyposażoną w dwa ślimakowe stanowiska obserwacyjne, ziemne urządzenia obronne, uprawy forteczne o funkcji maskującej, bramę forteczną z kratą i przeszkodę przeciwpiechotną z drutu kolczastego.

JAK TO ROBIĄ HOLENDZYSI

Wśród przykładów holenderskich prym wiodą realizacje związane z procedurą wpisu **Nowej Holenderskiej Linii Wodnej** na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO w ramach rozszerzenia pozycji wokół Amsterdamu. Odnajdujemy tu przykłady adaptacji fortyfikacji i krajobrazu do współczesnych potrzeb przy bardzo zróżnicowanym poziomie zaangażowanych środków. W ostatnim



Schron Piechoty 1 z lotu ptaka, Wrocław, ul. Dembowskiego

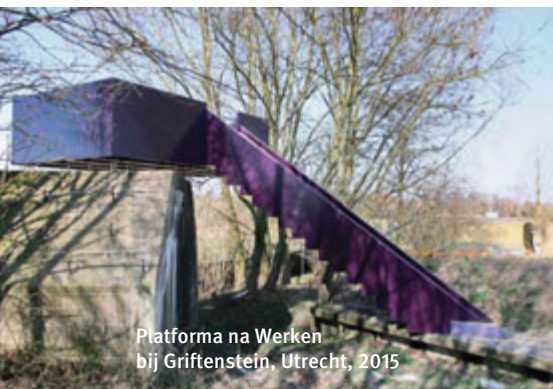
czasie szczególną uwagę projektantów i opinii publicznej przyciąga przykład rewitalizacji **Fortu Vechten** (1867–1870) zlokalizowanego w pobliżu Bunnik. Na wyspie o powierzchni 17 ha na 26 schro-

nów (blisko 11 tys. m² pow. użytkowej) 5 zostało zaadaptowanych tylko i wyłącznie jako zimowiska dla nietoperzy.

Vechten w latach 2013–2015 otrzymał nową formę. Zrealizowano tu bowiem

projekt zagospodarowania terenu i wzniesiono budynek muzeum holenderskich linii wodnych – **NATIONAL WATERLINE MUSEUM (WATERLINIEMUSEUM)**. W poprzek fortu wykonano otwarcie widokowe w formie 80-metrowej „wstęgi”, ukazującej pierwotny kształt form ziemnych, natomiast resztę fortu pozostawiono porośniętą wraz ze znajdującymi się tam roślinami i zagrożonymi gatunkami.

Dla zwiększenia dostępności zewnętrznej w dwóch miejscach wykonano mosty i przecięto w poprzek nasyp przedpiersia o wysokości 8 metrów. Jedna z nowych ścieżek prowadzi do „niewidocznego parkingu” o powierzchni 3 ha, do budowy którego użyto kruszywa z rozdrobnionej cegły oraz kształtek wykonanych z odzyskanego betonu. Oświetlenie parkingu dostosowano do wymagań ochro-



Platforma na Werken
bij Griffenstein, Utrecht, 2015



Fortyfikacje Werk aan het Spoel
w pobliżu Culemborg

ny środowiska i nietoperzy bytujących w forcie.

Nowy pawilon muzeum jest ukryty i niewidoczny z dawnego przedpola. Powstał z betonu i został przykryty ziemią na wzór schronów znajdujących się na terenie fortu. W centralnym miejscu patia zlokalizowano 50-metrowej długości betonowy model Nowej Holenderskiej Linii Wodnej, w którym odwiedzający, dysponując blisko 19 m³ wody, mogą własnoręcznie wykonać zalew!

Niestety, w trakcie prac przy porządkowaniu zieleni usunięto liczne historyczne drzewa, w tym szpaler stanowiący maskę tylną dla schronu koszarowego oraz drzewa owocowe. Większość jednak uzupełniono nowymi nasadzeniami. Jak Holendrzy zagospodarują forty? Najnowsze zdjęcia Vechten można zobaczyć pod adresem:

<http://www.uncubemagazine.com/blog/16448300>

Znacznie mniejszą inwestycję zrealizowano w latach 2009–2012 w ramach rewaloryzacji zabytkowego dzieła **Werk aan het Spoel**, zlokalizowanego w pobliżu miejscowości Culemborg. Tutaj odtworzono formy ziemne i budynki wojskowe, a całości nadano formę zielonej rzeźby w krajobrazie, wykorzystując otoczenie łąk i terenów zalewowych rzeki Lek. Wzniesiono wieżę widokową do podglądania ptaków, mieszczącą w przy-

ziemiu niewielką restaurację z kuchnią polową. Wykonano także celowe otwarcia krajobrazowe poprzez przecięcie wałów ziemnych przedpiersia oraz eliminację zieleni na wybranych osiach, ukazując daleki wgląd w przedpole dzieła. Efekt całości? Powstały miejsca spotkań, gdzie sztuka, kultura (warsztat rzeźbiarski oraz amfiteatr na 300 osób), przyroda i historia idą ze sobą w parze.

FORT to dzieło obronne stanowiące część twierdzy, przystosowane do obrony okrężnej w powiązaniu z sąsiednimi umocnieniami.

(za Bogdanowskim i in., 1986)

Rozpoznawalnym symbolem na obszarze Nowej Holenderskiej Linii Wodnej jest też obecnie przecięty na pół schron „Bunker 599” w pobliżu autostrady Amsterdam–Maastricht przy grobli (Diefdijk). Powstał w 1940 r., a swoją nową formę dzięki odważnemu projektowi zyskał w 2010 roku. Teren wokół obiektu uporządkowano i wykonano ścieżkę przechodzącą przez środek schronu – historyczny przekrój dla nowej osi widokowej – na końcu której jest pomost i niewielki staw ilustrujący obronny zalew wojskowy. Poprawiono nie tylko dostępność schronu z grobli, ale i umożliwiono zwiedzającym doświadczenie masywnej konstrukcji podczas przechodzenia przez jej środek.

Z kolei w przypadku fortyfikacji **Werk bij Griffenstein (Utrecht)** zastosowano kontrastujące platformy widokowe i siedziska, w otoczeniu zieleni naturalnie porastającej teren, dostosowania wnętrza schronów na potrzeby bytowania nietoperzy (zabezpieczenie wejść, wykonanie sypialni dla tych ssaków), wprowadzenie mebli miejskich w wybranych punktach czy wykonanie punktowych realizacji w postaci miejsc piknikowych, otwarć widokowych, pomostów i tym podobnych.



Fort 6, Wrocław, ul. Polanowicka

POLSKIE REALIA

Znając holenderskie rozwiązania, nie sposób nie ocenić polskich adaptacji. W rodzimych koncepcjach brakuje równowagi, a właściwie zrównoważonego kształtowania zabytkowych obiektów, gdzie budynki, budowle ziemne oraz uprawy forteczne, a więc zieleń, traktowane będą jako całość w sensie funkcjonalnym i krajobrazowym – elementy narracji dla wzmocnienia „ducha miejsca”.

Specyfika współczesnego kształtowania zabytkowych fortyfikacji powinna zapewniać jednocześnie trwałość funkcjonowania procesów przyrodniczych oraz naturalnej różnorodności biologicznej. Dlatego wprowadzanie nowych funkcji i ruchu turystycznego na terenach pofortecznych, przy obecnym stałym procesie przebudowy środowiska, powinno zapewniać przestrzeń atrakcyjną dla turystów, ale i cenną pod względem przyrodniczym, stwarzającą jednocześnie możliwość kontemplacji i odpoczynku. Stanowi ona bowiem miejsce bytowania roślin i zwierząt konieczne dla ich egzystencji, których zachowanie jest szczególnie istotne z punktu widzenia negatywnych skutków rozwoju urbanizacyjnego, ukierunkowanego głównie na aspekty techniczno-ekonomiczne. Jeśli teren historycznych fortyfikacji przez dziesiątki lat ulegał dewastacji i zapomnieniu, to człowiek – a nie przyroda – staje się w pewnym sensie intruzem.

Procesy wymiany i starzenia się drzewostanu wprowadzonego na zabytkowych fortyfikacjach na początku XX w. wymagają działań na rzecz ich rewaloryzacji. Jest to właściwy czas na takie działania. W Instytucie Architektury Krajobrazu prowadzimy badania zmierzające do lepszego poznania drzewostanu obec-

nego na historycznych fortyfikacjach, w tym badania dendrochronologiczne. Dysponujemy ówczesnymi przepisami technicznymi i regulaminami dotyczącymi nasadzeń fortecznych i moglibyśmy kontynuować zatarte układy kompozycyjne z zachowaniem oryginalnego składu gatunkowego drzew i krzewów, przy uwzględnieniu pozytywnych aspektów sukcesji wtórnej.

Zrównoważone projektowanie w przypadku historycznych fortyfikacji powinno zmierzać do uczytelnienia historycznych struktur, zachowania gatunków i kompozycji przestrzennej roślinności dla przyszłych pokoleń. Powinno także zapewniać spójność przestrzenną, różnorodność biotyczną, uwzględniać aktualne zapotrzebowanie społeczne oraz stanowić formę lokaty „kapitału” przestrzennego procentującego w procesach rozwojowych w dłuższym okresie czasu. Wybranych fortom i schronom na terenie Wrocławia bliżej jest bowiem do historycznych parków niż terenów leśnych, za które często uchodzą. Wymaga to jednak działań odgórných, racjonalnej polityki przestrzennej, planu ratowania fortyfikacji poprzedzonego kwerendami

historycznymi, inwentaryzacjami, wartościowaniem z określeniem możliwości przekształceń oraz założeń konserwatorsko-planistycznych.

W tym przypadku zarówno trywializowanie przyrody, jak i radykalizm ekologiczny nie sprzyjają nawiązaniu dialogu zmierzającego do poprawy jakości projektowanej przestrzeni. Wszystko to sprawia, że adaptacje zabytkowych fortyfikacji to przestrzeń do działania dla zespołów projektowych obejmujących specjalistów z wielu dziedzin, w tym ekologii, dendroklimatologii, leśnictwa i innych. Mamy ich w Instytucie Architektury Krajobrazu. Efektem tych działań powinny być nie tylko miejsca piknikowe z grillami i placami zabaw, które mogą równie dobrze znajdować się przy parkingach autostradowych, ale miejsca z odpowiednio dobranym programem edukacyjnym, formy otwartych muzeów ukazujące przyrodę i zabytki jako nierozzerwalną całość. We Wrocławiu na kilku obiektach jest to nadal możliwe i szkoda by było z tej szansy nie skorzystać. Mam tu na myśli na przykład fort 6 przy ul. Polanowickiej. Wrocławskie Stowarzyszenie Fortyfikacyjne powoli wdraża ten plan w życie. •

LUKASZ PARDELA

Architekt krajobrazu, adiunkt w Instytucie Architektury Krajobrazu Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, członek Polskiego Komitetu Narodowego Międzynarodowej Rady Ochrony Zabytków ICOMOS, wolontariusz Wrocławskiego Stowarzyszenia Fortyfikacyjnego. Jego obszarami badawczymi są zabytkowe fortyfikacje w aspekcie ochrony dziedzictwa kulturowego i przyrodniczego. Jest autorem kilkunastu artykułów w czasopiśmie naukowych oraz współautorem monografii dotyczącej wojskowych przeszkód wodnych XX w. Twierdzy Wrocław.

WROCŁAWSKIE STOWARZYSZENIE FORTYFIKACYJNE

Obecnie zajmuje się rewitalizacją i konserwacją Fortu Piechoty nr 6 przy ul. Polanowickiej, obejmującego blisko dwuhektarową działkę, na której znajdują się doskonale zachowane fortyfikacje, formy ziemne i uprawy forteczne. Stowarzyszenie prowadzi badania archiwalne i terenowe, zajmuje się promocją i popularyzacją wiedzy o fortyfikacjach XIX- i XX-wiecznych: organizuje wycieczki, oprowadzania po forcie, a jego członkowie publikują artykuły naukowe i popularno-naukowe. W ramach WSF działa grupa rekonstrukcji historycznej, gromadzone są też pamiątki związane z funkcjonowaniem twierdzy.

W 2016 roku WSF planuje – poza sobotami – udostępnić Fort Piechoty 6 przy ul. Polanowickiej do zwiedzania podczas Świąta Twierdzy (weekend po 10 czerwca), Dolnośląskiego Festiwalu Nauki (wrzesień) oraz Europejskich Dni Dziedzictwa (także wrzesień). Nie pobiera się opłat za wstęp i oprowadzanie. Jeżeli ktoś ma ochotę, zawsze może wesprzeć Stowarzyszenie darowizną na cele statutowe.

www.fortwroclaw.pl

Monika Brzeźna

**BEZ ROWERU
NIE MA DLA
NIEJ
ŻYCIA**



Kolarstwo szosowe – najbardziej drużynowy ze sportów indywidualnych i jej całe życie. **MONIKA BRZEŻNA**, studentka kierunku inżynieria środowiska, opowiada o ostatnich wyścigach i sukcesach, marzeniach o starcie na igrzyskach i rodzinnej kolarskiej historii.

Można powiedzieć, że to sport rodzinny. Jeździł tata, jeździł wujek, kuzyni, siostry. Kiedy jako mała dziewczynka codziennie widywała pod domem koło Sobótki kolarzy na zbiórce przed treningiem, też chciała jeździć.

Treduje od 12 lat. Ma 18 medali z mistrzostw Polski, w tym osiem złotych, dwa z Akademickich Mistrzostw Świata. Jest w siódemce typowanej do polskiej reprezentacji na Igrzyska Olimpijskie w Rio de Janeiro. Na Uniwersytecie Przyrodniczym we Wrocławiu studiuje Inżynierię środowiska i kiedy nadejdzie czas, że będzie musiała odejść ze sportu, chciałaby pracować w zawodzie.

MEDAL I NIEDOSYT

Do ostatnich sukcesów Monika Brzeźna może zaliczyć brązowy medal na Akademickich Mistrzostwach Świata na Filipinach, jeden z dziewięciu przywiezionych przez polską reprezentację. Chociaż, jak sama mówi, liczyła na więcej: – Plan był taki, że najpierw ja pomagam koleżance zdobyć srebrny medal w kryterium, dzień później ona pomaga mi wygrać ze startu wspólnego. A wyszło, jak wyszło – podsumowuje kolarzka, nieco zawiedziona.

Kryterium to wyścig uliczny, dość szybki, składający się z krótkich rund – co 1–2 km przejeżdża się przez metę i zdobywa punkty, wygrywa oczywiście zawodnik z największą liczbą punktów z całej trasy. Na Filipinach miał to być dystans 80 km, ale... zaszły pewne zmiany: – Okazało się, że droga, po której mieliśmy jeździć, jest remontowana, trasę zmieniono na rundę 1800 m, ale z 25-procentowym podjazdem. Podjazd, krótki zjazd, finisz i tak w kółko – 20 rund. Wyszło z nich 36 km, wydawałoby się, że to ogromne ułatwienie, ale zazwyczaj taki podjazd robi się na 120-kilometrowej trasie, a kryterium pokonuje się po płaskim terenie. Do tego 37 stopni, zero cienia, *jet lag* – wlicza Brzeźna, która mimo wszystko dojechała do mety jako

trzecia, zgodnie z wcześniejszymi założeniami. Jednak wyścig ze startu wspólnego, który z pomocą koleżanki planowała wygrać, okazał się dużo trudniejszy.

– Ruszałyśmy na trasę 122 km, ale ze względu na upały i górzysty teren, jechałyśmy wolniej, niż zakładali organizatorzy i trasę skrócono o mniej więcej 40 km, ale zjazd! A właśnie w zjazdach czułyśmy się i byłyśmy znacznie lepsze niż konkurencja. Poza tym nie zdążyłam się przez noc zregenerować, ledwo stałam na nogach, a organizatorzy, sędziowie, ekipy techniczne, wszyscy bardzo chcieli, żeby to przedstawicielka Filipin stanęła na podium i, co tu dużo mówić, trochę nam przeszkadzali. W końcu dojechałam jako czwarta, zasadniczo to dobry wynik, ale jednak pewien niedosyt pozostał – przyznaje kolarzka.

Dwa lata wcześniej, na Akademickich Mistrzostwach Świata rozgrywanych w Jeleniej Górze, w jeździe indywidualnej na czas również zdobyła brąz.

FILIPINO TIME

– Zdarzyły się zawody w Stanach Zjednoczonych czy w Azerbejdżanie, jednak zazwyczaj ścigam się w Europie, więc wyjazd na Filipiny był dość egzotyczny. Nie ma tam czegoś takiego jak punktualność. Przyjeżdżamy na wyścig – po jedzeniu odpowiednio wcześniej, po rozgrzewce, gotowi do startu – a tam nie ma nic, nikogo. Idziemy na trening – pusto. Ktoś się tylko uśmiecha i powtarza „filipino time” – śmieje się Brzeźna, która właśnie Akademickimi Mistrzostwami Świata rozpoczęła tegoroczne wyścigi.

Sezon kolarski zaczyna się razem z wiosną, kończy zazwyczaj we wrześniu, w tym roku będzie wyjątkowo jednak trochę dłuższy – mistrzostwa świata odbędą się w Katarze, gdzie dopiero



w październiku robi się odrobinę chłodniej. Każdy sezon to około 40 startów.

– Najdłuższą etapówkę jechałam osiem dni. Nie wyobrażam sobie udziału w Tour de France, gdzie jest 21 dni startowych. Śniadanie, wyścig, regeneracja, masaż i tak w kółko, na koniec jedzie już tylko silna wola, bo w mięśniach niewiele zostaje. To jest też strasznie męczące psychicznie – opowiada studentka piątego roku inżynierii środowiska, która gdy tylko nie trenuje, nie ściga się i nie jest akurat na zajęciach, stara się przypomnieć znajomym o swoim istnieniu. A w kwestii największych sportowych marzeń dodaje: – Pewnie, że marzą mi się igrzyska, jak każdemu sportowcowi. Na razie jestem w szerokim 7-osobowym składzie do Rio de Janeiro, pojadą prawdopodobnie trzy dziewczyny. Ale nie nastawiam się, co ma być, to będzie.

ROWER W GENACH

Wujek – JAN BRZEŻNY – był olimpijczykiem w Montrealu w 1976 r., dwukrotnie wygrał Tour de Pologne, ośmiokrotnie Mistrzostwa Polski. Tata – FRANCISZEK BRZEŻNY – był tym, do którego codziennie pod dom przyjeżdżali młodzi kolarze. Nie tylko sam jeździł, ale i trenował – również swoje córki. Bo dziewczynom szlaki w kolarstwie przetarła najstarsza z czterech siostr Brzeźnych – PAULINA.



– Tata próbował ją odwieść od tego pomysłu, uważał, że to za ciężki sport dla dziewczyn, a kolarstwo kobiece było jeszcze wtedy mało popularne. Zabrał ją na pierwszy trening i dał porządny wycisk, żeby jej się odechciało. Ale Paulina to twarda sztuka – opowiada MONIKA, najmłodsza z rodzeństwa, na co dzień ścigająca się jako reprezentantka klubu MAT ATOM Sobótka.

Paulina Brzeźna-Bentkowska, 45-krotna medalistka mistrzostw Polski, zajęła ósme – najlepsze w historii polskiego kolarstwa kobiet – miejsce na Igrzyskach Olimpijskich w Pekinie w 2008 r. Razem siostry zdobyły mistrzostwo Polski w jeździe parami na czas i w jeździe drużynowej na czas. Na początku obie dziewczyny trenował tata, teraz to Paulina trenuje Monikę, choć tata nadal czasem doradza. – Od czasów taty dużo się zmieniło, kiedyś trenowało się na wycucie, dzisiaj wszystko jest pomierzone, każdy trening – przejechany dystans, czas, prędkość, tętno, rytm pedałowania, moc, temperatura powietrza i tysiąc innych współczynników. Sztuką jest być teraz dobrym trenerem, trzeba to wszystko przeanalizować i wiedzieć, kiedy dać zawodnikowi odpocząć, a kiedy poświęcić szybkość.

POCZĄTKI I KRZYSY

Pierwsze zawody? – W piątej klasie podstawówki, moja szkoła nawet nie brała w nich udziału, ale mama gdzieś o nich usłyszała. Namówiłam też dwóch kuzynów, żeby było mi raźniej, pojechałam i wygrałam. Wtedy trenowanie zaczęło się na poważnie, chęci od razu wzrosły – dziś Monika trenuje właściwie codziennie, zimą nawet dwa razy – rano rower, po południu bieganie albo siłownia. – Najgorszy jest czas wiosenny, kiedy trenujemy wytrzymałość, codziennie nawet do 5 godzin. Między zawodami – ćwiczenia i treningi po 2,5 godziny.

W dzień wolny – godzinna przejażdżka dla relaksu i „rozjechania nogi”, zamiast masażu – opowiada kolarzka i śmieje się, że rower jak dziecko, zawsze i wszędzie z nią, a chodzenie, jak każdego kolarza, strasznie ją męczy. – Im ciężiej na treningu, tym lżej na zawodach, więc mimo że nie stoi nade mną trener z batem, wiem, że muszę zrealizować plan, nie odpuszczać. Zawsze jest z tyłu głowy świadomość, że jedna czy dwie zarwane noce i praca wielu tygodni pójdzie na marne.

– W 2011 roku startowałam do połowy sezonu, później miałam kontuzję, praktycznie przestałam się ścigać, coś tam niby trenowałam, ale raczej lekko. Miałam zakończyć karierę, ale Paulina przekonała mnie, żebym nie rezygnowała, i została moim trenerem. – Jak się później okazało, była to bardzo dobra decyzja – w 2015 roku studentka UPWr zdobyła mistrzostwo Polski senierek w kryteriach ulicznych, dwa złote medale w jeździe drużynowej (z siostrą) i szosowe górskie mistrzostwo Polski.

SPORT INDYWIDUALNY, ALE DRUŻYNOWY

– Kolarstwo szosowe jest wbrew pozorom dyscypliną drużynową, mówi się nawet, że to najbardziej drużynowy ze sportów indywidualnych. Nawet najlepszy zawodnik nie poradzi sobie na długich dystansach sam. Do wygrywania potrzeba sprytu – lider po prostu jedzie, ma dojechać do mety, zachować siły na ważniejsze akcje, a żeby opór powietrza był jak najmniejszy, chowa się za drużyną – opowiada Brzeźna i dodaje, że w czasie wyścigu, zwłaszcza w kolarstwie szosowym, bardzo dużo się myśli i kalkuluje.

W MTB, czyli kolarstwie górskim, gdzie się, kolokwialnie mówiąc, ile fabryka dała, natomiast na szosie liczy się taktyka, trzeba albo osłonić lidera, albo

myśleć, kiedy i jak zaatakować, do tego uważać na peleton, unikać kraks.

I chociaż Brzeźna tylko w zeszłym sezonie zaliczyła połamane żebra, wybite zęby i kilka szwów, poważniejszych obrażeń udawało jej się do tej pory unikać. I jak twierdzi – póki nie wpadnie na ciebie peleton, nie jest źle. A żeby przetrwać w peletonie, ćwiczy się koordynację i stabilizację: – Jeśli ktoś się boi, jest automatycznie spychany do tyłu. Trzeba umieć się odnaleźć w tej grupie, zawalczyć o pozycję – z przodu jest mniej wypadków, więcej widać, łatwiej zareagować na ataki. Czasami cały wyścig walczy się o ten 2–3 rząd. Bo wiadomo – w pierwszym jest za duży wiatr.

Do dopingu i restrykcyjnych diet podchodzi z dystansem, bo żeby brać doping, trzeba mieć pieniądze, i to niemałe, więc w Polsce raczej nie ma tematu, a o ile lepiej ważyć mniej niż więcej, to jednak przede wszystkim trzeba dbać o zdrowie.

– Znam dużo dziewczyn, które popadły w anoreksję czy bulimię, bo mówiono im, że jak się odchudzi karoserię, to silnik będzie szybciej jechał. Z tego, co mówią dietetycy, często można wywnioskować, że powinniśmy jeść mało, a najlepiej wcale. Dopiero niedawno spotkałam pierwszego dietetyka, który powiedział, że trzeba mieć co spalać. Ja po prostu staram się jeść zdrowo – mówi Brzeźna, która w zeszłym roku została również laureatką XIII konkursu na najlepszego studenta-sportowca na Dolnym Śląsku i przy tej okazji mówiła: – Uczelnia idzie mi na rękę i pozwala na nieobecności. Oczywiście potem muszę nadrobić zaległości, ale mam indywidualny tok nauczania, dzięki czemu mogę zaliczać przedmioty w innych terminach. To bardzo pomaga zwłaszcza w semestrze letnim, kiedy częściej mnie nie ma na uczelni, niż jestem. Cały czas zgrupowania, wyścigi, trudno byłoby wszystko połączyć bez udogodnień. •

Jak powstaniec został weterynarzem

HONOR MUNDURU. I MIŁOŚĆ OJCZYZNY



Jest jednym z ostatnich żyjących kadetów – uczniów przedwojennego Korpusu Kadetów we Lwowie. Do Wrocławia przyjechał już po wojnie, tutaj skończył studia – weterynarię, tutaj ożenił się, dochował trójki dzieci, sześciu wnuków i czwórki prawnuków. **Doktor JAROSŁAW GRABIŃSKI**, emerytowany wykładowca Uniwersytetu Przyrodniczego.

Na starych, przedwojennych fotografiach ze Lwowa widać okazały, tynkowany budynek. To Korpus Kadetów, czyli gimnazjum matematyczno-przyrodnicze, które spośród innych szkół wyróżniał wysoki poziom i wojskowa dyscyplina. Chłopiec, który zaczynał tu naukę, dbał o honor munduru, który nosił. I wiedział, co znaczą słowa „ojczyzna”, „Polska”, „godność”.

– Do Korpusu trafiłem w 1937 roku. Byliśmy oczywiście skoszarowani. Tworzyliśmy kompanie i plutony. Klasa była plutonem, cały rocznik – kompanią. Ale ukończenie tej szkoły nie oznaczało,

że trzeba było iść do wojska. Jeśli ktoś wybierał taką drogę, to szedł do podchorążówki i od razu na drugi rok omijał go tak zwany rocznik unitarny, który z cywili robił żołnierzy. Ja nie zdążyłem zdecydować, czy tak jak tato zostanę oficerem. 1 września 1939 roku wybuchła wojna – opowiada Jarosław Grabiński, któremu rodzice na chrzcie dali Jarosław, Andrzej, Wojciech i tak naprawdę całe życie był Wojtkiem. Nawet w konspiracji miał taki pseudonim.

Wykruszali się od lat. Tak jak kiedyś trzymali się razem, pielęgnując pamięć o wspólnym doświadczeniu, tak dzisiaj

zostały już tylko książki i troska, by ocalić z przeszłości jak najwięcej, póki jeszcze jest czas. Umieli się rozpoznać w czasie wojny. Umieli się odnaleźć i po wojnie, choć w czasie stalinowskiej nocy nikt Korpusem Kadetów się nie chwalił. – Ta szkoła po wojnie po prostu była trefna – dr Grabiński, poprawiając się w fotelu, wymienia nazwiska kolegów, którzy tak jak on po wojnie dotarli do Wrocławia. Najstarszy był Olo Budziszewski, kadet z korpusu w Rawiczu, chemik, adiunkt u profesora Płaszka, kiedy jeszcze uniwersytet i politechnika były jedną uczelnią. Przeniósł się

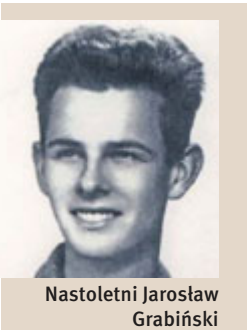
później do Instytutu Immunologii i Terapii Doświadczalnej. Kolejny to Marian Sobociński, ze lwowskiej szkoły, tak jak Grabiński studiował weterynarię. Przeniósł się do Poznania, gdzie doszedł do tytułu profesora. Był też kolejny weterynarz – Zbyszek Paradowski, który trafił do Instytutu Onkologii, do Głiwic. I koniarz, chirurg Andrzej Modrakowski, który w 1953 roku – jako lekarz weterynarii – zaczął pracę na wrocławskim torze wyścigowym. I jeszcze późniejszy rektor i prorektor profesor Eligiusz Roszyk, specjalista z zakresu chemii rolnej.

CZAS DORASTANIA

Wakacje 1939 roku. Sierpień był upalny, jak całe lato. Zwykle do szkoły zjeżdżali z domów na kilka dni przed rozpoczęciem roku szkolnego, ale w tym roku do domu w Ostrowii Mazowieckiej przyszło zawiadomienie, by wstrzymać się z wysłaniem syna.

– Tato, który był oficerem w stopniu majora, został zmobilizowany. Był dowódcą kompanii szkoleniowej w szkole podchorążych piechoty w Komorowie koło Ostrowii, a przydział dostał do Wilna, do Pułku Legionów Piechoty. Pożegnaliśmy go na dworcu. I już nigdy więcej się nie zobaczyliśmy. Ostatnia karta od niego przyszła z obozu w Kozielsku. W grudniu. Niewielka, taka odkrytka, jak mówią Rosjanie, napi-

sana była w październiku lub listopadzie 1939 roku. Tato martwił się, jak przeżyjemy zimę, czy mamy opał. I napisał takie dziwne zdanie „nie jedźcie do Jadzki, bo tam nie będę mógł was szukać” – opowiada Grabiński i już nie musi dopowiadać, że jego ojciec Felicjan Ignacy, major, zginął zabity strzałem w tył głowy w chłodny, kwietniowy poranek w lesie katyńskim. Nie dowiedzieli się tego ani z listy nazwisk opublikowanej przez Niemców po ataku III Rzeszy na Rosję Sowiecką i odkryciu zbrodni katyńskiej, ani z pierwszej listy publikowanej w Londynie przez środowiska emigracyjne. Prawdę Jarosław Grabiński z mamą poznali dopiero z drugiej londyńskiej listy.



Nastoletni Jarosław Grabiński

FOT. NN, ZBIORY OŚRODKA KARTA, UDOSTĘPNIŁA NATALIA STACHON



Uczniowie I Korpusu Kadetów we Lwowie podczas lekcji historii z prof. Bolesławem Stachonem

– Jadzka, o której tato pisał na tej ostatniej kartce pocztowej, to była moja ciocia, żona mojego chrzestnego. Wujek, Henryk Pracki, był kapitanem. Nie ma go na liście katyńskiej, ale nigdy go nie odnaleźliśmy. Ciocia mieszkała w części, którą 17 września zajęli Sowieci, więc ojciec miał chyba nadzieję na jakąś wymianę. Że ich wypuszczą z tego obozu do domów... – głos dr. Grabińskiego zawiesza się na chwilę. Po kolejnym oddechu, nie tak głębokim jak by się chciało, bo z wiekiem astma się przyplątała, opowieść o wojennych kolejach losu kadeta z lwowskiego korpusu znów zaczyna się snuć. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu jak na przyspieszonym filmie, bo jak w ciągu kilku godzin opowiedzieć komuś swoje życie w tym najbardziej dramatycznym momencie?

Pierwsze bombardowanie przeżył wcale nie 1 września, ale kilka dni później. Nad koszary i bloki, gdzie mieszkały rodziny oficerów, nadleciały niemieckie samoloty bombowe, henkel 111. Cała eskadra. Któryś z nich zrzucił ładunek na wartownię. Śmierć kilku osób tylko przyspieszyła decyzję o ewakuacji. Podstawiono im furmanki, na które kobiety z dziećmi, z walizkami, w których były najpotrzebniejsze rzeczy i te, które da się spieniężyć, jeśli będzie taka potrzeba, ruszyły w nieznaną.

Jechali nocami. Na wschód, nie wiedząc, że za kilka dni wkroczy tam Armia Czerwona. Dojechali prawie do Brześcia, gdzie akurat Niemcy atakowali twierdzę. Ale kiedy do miasta wkroczyli Rosjanie, to pani Grabińska, nie czekając na wspólną defiladę odbieraną przez generałów Wehrmachtu i Armii Czerwonej, wyszukała wóz, którym zaczęli uciekać tam, skąd przyjechali. Na zachód.

– Dotarliśmy w okolice Warszawy. Nad Świder, do młyna wodnego, gdzie mieszkała mama koleżanka ze szkoły. Tam dotarła też z Grodna siostra mamy z córeczką. Czekaliśmy, bo Niemcy zamknęli Warszawę i nikogo nie wpuszczali do miasta. Trwało to jakieś 2–3 tygodnie. Przeżyliśmy nawet napad bandycki w nocy. Maruderzy wojskowi w mundurach, z karabinami, zabrali mojej mamie walizeczkę, w której trochę pieniędzy miała i jakieś akcje elektrowni w Gródku Jagiellońskim. A jak już Niemcy otworzyli miasto, to ruszyliśmy do Warszawy – opowiada Jarosław Grabiński.

CZAS PRÓBY

W tej Warszawie tak naprawdę mieszkali po rodzinie i znajomych. Nastoletni Wojtek i jego mama szybko zaczęli mieszkać osobno. Żona oficera nawiązała kontakty z Komendą Główną – naj-

pierw ZWZ, a później AK. Prowadziła lokale na odprawy, miała dokumenty na różne nazwiska. W jednym z tych mieszkań był ukryty pokój – za szafą... Syn wiedział o tym, ale jak przystało na kadeta, wiedział też, że są sprawy, o których się nie rozmawia. Choć przecież kiedyś w jednym z tych mieszkań kontaktowych mama pokazała mu mały, haftowany sztandar, który miał dotrzeć do Anglii, do polskich lotników. Dzisiaj ten sztandar jest w Muzeum Sikorskiego w Wielkiej Brytanii.

Kolegę ze szkoły spotkał któregoś dnia przypadkowo na ulicy. A jak zaczęli się szukać, to szybko okazało się, że jest ich sześciu. Znaczą sekcja. W sam raz do prowadzenia szkoleń.

– Ojciec jednego z kolegów, pułkownik Klepacz, stał wysoko w ZWZ-ie. Struktury podziemne zaczęli tworzyć jeszcze przed kapitulacją Warszawy, kiedy już wiadomo było, że pierwszy etap wojny przegraliśmy. I wiadomo było, że mimo dwóch lat szkoły, są nam potrzebne szkolenia, bo szybko zaczęliśmy mieć konkretne zadania do wykonania – wspomina dr Grabiński.

Zadania wywiadowcze w okupowanej Warszawie wbrew pozorom wcale nie były łatwe. Ich zadaniem było obserwowanie niemieckich koszar, spisywanie liczby aut wjeżdżających i wyjeżdżających, ich numerów rejestracyjnych, symboli. Przez kilka godzin i to tak, by

nie zwrócić na siebie uwagi. Na kartce, trzymanej w kieszeni spodni lub kurtki.

Uczyli się regulaminów, składania broni, instrukcji, zasad. Składali uroczystą przysięgę – ślubowali białoczerwonej, że będą walczyć o Ojczyznę do ostatniej kropli krwi.

– Byliśmy pod dowództwem porucznika „Dana”. Do dzisiaj nie udało się nikomu z nas ustalić jego prawdziwego nazwiska, zdaje się, że był saperem. Spotykaliśmy się w kościele przy placu Zbawiciela. I to tam dostawaliśmy przydział zadań do wykonania – opowiada dawny kadet, którego szybko skierowano na szkolenie do tajnej podchorążówki „Agrykola”. Skończył ją wraz z kolegami w dniu, w którym dotarła do Warszawy wiadomość o klęsce generała Paulusa pod Stalingradem. Był styczeń 1943 roku. Nie wiedzieli, że za dwa lata Warszawa będzie morzem wypalonych ruin.

Wojtek Grabiński został adiutantem „Dana”, ale krótko po tym awansie został aresztowany. Sypał jeden z kolegów, który wpadł i nie wytrzymał tortur. – Ale szczęście w nieszczęściu, że znał mnie jako Wojtka, a nie pod imieniem z oficjalnych dokumentów, czyli jako Jarosława. Kiedy gestapo przyszło do stróża, pytali o Wojciecha Grabińskiego. A ponieważ usłyszeli, że takiego tu nie ma, to aresztowali moich dwóch wujów, których wywieziono do Dachau... – starszy pan poprawia filiżankę

stojącą na niewielkim stoliku i po chwili dodaje: – Stróż, by mnie ostrzec, wyszedł aż na przystanek tramwajowy.

Szybko okazało się, że śledztwa nie wytrzymał Zbigniew Czerniewicz. Podziemie wydało na niego wyrok za zdradę. Chłopaka ukrywały przed Niemcami i matka, i siostra. Ukrywały też przed tymi, którzy mieli wykonać wyrok. Aresztowano wtedy m.in. Julka Klepacza, któremu udało się uciec z transportu do Auschwitz – to on po powrocie do Warszawy powiedział im, kto sypał... Zbyszka wytropiła grupa egzekucyjna. Ciężko ranny zmarł w szpitalu, nie ujawniając żadnego nazwiska.

Grabiński wpadł w lutym 1943 roku. Trafił na Szucha wprost z mieszkania Władka Radajewskiego, gdzie Niemcy zorganizowali „kocioł”. Miał szczęście. Nic przy sobie nie miał. Próbował tłumaczyć, że przyszedł do kolegi po książki, ale to dzięki matce wyszedł na wolność po sześciu tygodniach – z rąk gestapowców wykupiła go Komenda Główna. Ciężko pobity, z gorączką, ale żywy.

W ukryciu czekał na podrobione dokumenty, z którymi miał wyjechać poza Generalną Gubernię.

CZAS WALKI

Parę dni przed 1 sierpnia 1944 roku czekał na rozkaz, gdzie ma się stawić. W końcu przyszła wiadomość: mieszkanie na tyłach placu Narutowicza. Przydział



Lwów, uroczystości wojskowe – przemarsz oddziału kadetów przez miasto



Wykładowcy I Korpusu Kadetów w oczekiwaniu na przyjazd Marszałka Józefa Piłsudskiego, patrona szkoły, w środku z kapeluszem w ręku stoi prof. Bolesław Stachoń, nauczyciel historii



FOT. NN. ZBIORY OŚRODKA KARTA

Msza święta w Korpusie Kadetów we Lwowie

„Baszta”. Z tego punktu zbiórki na Mokotów, na ulicę Krasickiego. Gdzieś dwieście metrów od ulicy Odyńca była opuszczona willa, gdzie był magazyn broni. Jako sekcja podchorążych kompanii B-1 czwartego plutonu mieli rozkonserwować broń. Przed godziną „W”.

– 1 sierpnia nasza drużyna specjalna podchorążych, w czwartym plutonie, dostała stosunkowo dobre uzbrojenie, bo wyrzutnię pocisków przeciwzołgowych Piata z sześcioma pociskami! Byłem pierwszym amunicyjnym. Dzidek, pseudonim „Kobuz”, czyli Bohdan Staniowski, był celowniczym i „Głaz”, czyli Piotr Haase, był drugim amunicyjnym. „Kobuz” miał pistolet „Colt”, parę granatów i parę butelek zapalających, więc to nie tak źle było – wspomina dr Grabiński.

Parę minut przed piątą przeszli do budynku, w którym mieszkali rodzice jego narzeczonej, którą poznał w swoim oddziale – w czasie powstania była sanitariuszką oddziału „Ruczaja” w Śródmieściu. Kiedy zobaczyli pierwszy nadlatujący samolot niemiecki, już wiedzieli, że dla nich zaczęła się prawdziwa walka.

Ale ich chrzest bojowy miał dopiero nadejść – w mieszkaniu magistra Gąseckiego, autora receptury słynnych „Kogutków”, proszków na ból głowy, a więc postaci znanej nie tylko w Warszawie. Pan Gąsecki nawet ich poczęstował przechowanym na wyjątkową okazję francuskim koniakiem (nawet nie przypuszczał, że ten koniak dzieciakom, którym go poda, będzie smakował mydlinami...).

W mieszkaniu urządzili stanowisko ogniowe. W pokoju narożnym wyjęli okna, żeby się szyby nie potłukły.

– Do okna przysunęliśmy stół, a na blat, żeby się nie porysował, położyliśmy materac. Jeszcze tylko karabin maszynowy, rozsunięte firanki. I czekamy. Od strony Rakowieckiej, Puławską, podjechał czołg. Wystrzelił w naszą stronę, ale pocisk wybuchł w murze i na szczęście, tylko nas ogłuszyło. Nikomu nic się nie stało – Jarosław Grabiński opowiada o tamtych dramatycznych dniach w Warszawie, starannie dobierając słowa, które i tak nie oddadzą tego, co czuli, gdy ginął kolega, czy się bali, czy myśleli o przyszłości.

O tamtych godzinach, akcjach, trupach, rozkazach, o zachłyśnięciu się wolnością i o tym, jak to jest zobaczyć szaleństwo ludzi, którzy przeżyli tylko dlatego, że schowali się pod stosami ciał zamordowanych sąsiadów, opowiedział kilka lat temu Magdalenie Miązek z Muzeum Powstania Warszawskiego. To była długa rozmowa, ale przecież każdy wie, że nawet na dwudziestu stronach nie da się zmieścić kilku lat życia.

– Najgorsze jednak przyszło, kiedy dostaliśmy rozkaz zejścia do kanałów. Mieliśmy się przebić do Śródmieścia, by tam dalej walczyć. Był 27 września i nawet nie wiedzieliśmy, że czeka nas zejście do piekła – dr Grabiński milknie na chwilę, jakby znów przeżywał najdłuższe 20 godzin swojego życia. Nie, nie czuł smrodu. Ani kanałów, ani trupów tych, którzy w te czeluście zeszli przed nimi i zginęli rozerwani niemieckimi granatami.

– Doszliśmy do miejsca, gdzie były worki z cementem, wrzucone i zalane wodą. Zrobiła się z nich ściana nie do przebycia. Woda była już wysoko, więc musieliśmy wracać. Gdzieś nam zginęli

przewodnicy. Szliśmy więc równym poziomem wzdłuż Puławskiej, potem w dół gdzieś bardzo ostro i znów w wodę. Niemcy zaczęli wrzucać granaty. Zaczęła przybierać woda. Ktoś powiedział, że zaczynają zalewać kanały. Nikt nie pomyślał, że to deszcz, przecież wodociągi nie działały... I wybuchła panika. W kanałach. Ktoś zaczął strzelać. Czuję, że płyną pode mnie jakieś zwłoki, a woda powoli podchodzi do góry... I w tym niewyobrażalnym chaosie i ciemnościach mówię do kolegi z oddziału: „Słuchaj, cofamy się, wracamy”. Bo wszyscy rwali do przodu, do wjazdu.

nas wyciągał. Każdy był zabłocony, zachlapany. Jakiś gestapowiec, bo z czarnym otokiem i z trupa główką, robił leicą zdjęcia każdemu i pod ścianą nam kazali stanąć – Jarosław Grabiński jakby znów stał pod tą ścianą. Czy to dlatego, że o jeden wąż dalej tych, którzy wyszli z kanałów, wszystkich Niemcy rozstrzelali? Ponad stu powstańców.

– Ja miałem szczęście. Żołnierz, który rozbrajał i rzucał broń na stertę, wziął jakąś puszkę pomalowaną na wojskowy kolor i wetknął mi do chlebaka. Byłem załamany. Myślałem, że zaraz nas zabiją i nawet nie zastanawiałem się, co on

– A tam zdumienie. Zobaczyliśmy boisko i młodzież grającą w piłkę nożną na tym boisku. Kiedy nas dostrzegli, podbiegli do drutów i zaczęli krzyżeć: „Bohaterowie! Powstanie Warszawskie! My wszystko o was wiemy!” – starszy pan w fotelu po raz kolejny proponuje kawę. – To byli Polacy z 1939 roku. Podchorążowie. Ale w obozie byli też Amerykanie, Anglicy, Francuzi, Włosi, Serbowie, Jugosłowianie.

CZAS WOLNOŚCI

Przyszła dopiero 26 kwietnia. Wyzwoliła ich Dywizja Strzelców Szkoekich. Orkiestra – jak na filmach – z kobzami, w spódniczkach w kratę. Reszta wojska to robotnicy z Londynu – *cockneye*. – Ale młodzi, fajni, tylko też zegarek ukradli jednemu z oficerów, który ich witał... Porządny, szwajcarski zegarek zdjęli z ręki – Wojciech Grabiński w końcu się uśmiecha, dodając, że jak widać, nie tylko Rosjanie kradli zegarki.

Już wolny, zachorował na tyfus. Szpital, potem kolejny obóz – w strefie amerykańskiej, dla rekonwalescentów. Do Polski wrócił jesienią 1945 roku. Tak naprawdę tylko po to, by odszukać narzeczoną i namówić ją, by wyjechali razem na Zachód. Są młodzi, przeżyli, po co im ta Polska, gdzie jak mówią, wciąż zabijają...

– Jeszcze w czasie okupacji zdałem małą maturę na tajnych kompletach. Dotarłem do Jędrzejowa do przyszłych teściów, którzy tam się dostali po powstaniu. Obydwoje byli nauczycielami, on był dyrektorem kursów dla dorosłych, gdzie w ciągu jednego roku robiło się dwa lata licealne i maturę. To przeszedłem tam i w 1946 roku w maju, jak zdałem już pełną maturę, przyjechałem do Wrocławia na weterynarię. Tutaj w 1947 roku wzięliśmy z żoną ślub. W tym samym roku zdobyłem mieszkanie, większego, i tam od tego czasu, od 1951 roku, żyję. Wciąż żyję – kadet Korpusu Kadetów ze Lwowa wstaje powoli z fotela i podchodzi do regału z książkami. Na półce są bezcenne pamiątki: książka o nim i jego kolegach i ich udziale w Powstaniu Warszawskim. Dowód, że byli. Dla tych, co zostają. •



Budynek, w którym mieścił się I Korpus Kadetów we Lwowie

Zaczęli wołać „patrol bojowy”. Ludzie się rozsuwali. A oni ruszyli w kierunku otwartego wjazdu, do którego Niemcy wrzucali co chwilę granaty. Udało im się przebiec. I szli. Strasznie długo. Myśleli, że dotrważą do nocy i wtedy wyrwą się jakoś... – Ale zaczęli nadchodzić inni i z góry po polsku ktoś zaczął wołać, że się Mokotów poddał, żeby wychodzić. Pojedynczo. Wszyscy wyszli, tylko Grabiński z kolegą siedzieli w malutkim korytarzyku i czekali. Nawet nie wiedzieli na co. – Aż uświadomiliśmy sobie, że nigdy więcej słońca nie zobaczymy... Zostawiliśmy broń w kanale i wyszliśmy. Pomagał nam jakiś żołnierz, pod koniec

mi podał. Niemcy nas ustawili, policzyli, kazali oddać noże, broń i inne rzeczy, jakie kto tam ma. Aż w końcu poprowadzili na Pole Mokotowskie. Stamtąd mieliśmy wyruszyć dalej. I to w tej drodze okazało się, że ta puszką niemiecka to była konserwa mięsna. Ten żołnierz wiedział, że czeka ich długa droga. Najpierw do obozu przejściowego, a potem wagonami do Berlina Hauptbahnhof, a stamtąd do Bremerferde koło Bremy. Kiedy wyprowadzano ich z dworca, w kolumnach, dzieciaki z Hitlerjugend obrzuciły ich grudami błota i końskim nawozem, wrzeszcząc „Banditen!”.

Doszli do obozu Sandbostel, stalag X B.



Wydział Przyrodniczo-Technologiczny swoje 70-lecie świętował 4 i 5 grudnia. Jako Wydział Rolniczy został utworzony w listopadzie 1945 roku, dzięki usilnym staraniom prof. Tadeusza Konopińskiego, jednak jego korzenie tkwią w tradycji lwowskich nauk rolniczych i sięgają aż 1856 roku.

70-lecie Wydziału Przyrodniczo-Technologicznego

WYRÓŻNIENIA, NAGRODY,

Głównym punktem uroczystości było wręczenie doktoratu *honoris causa* prof. FRANCISZKOWI ADAMICKIEMU. Dyrektor Instytutu Ogrodnictwa w Skierniewicach od początku swojej pracy naukowo-badawczej zajmuje się zagadnieniami przechwalnictwa warzyw.



Medal „Za zasługi dla Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu” otrzymał RAFAŁ DUTKIEWICZ.



Odznaki „Za zasługi dla Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu” wręczono natomiast prof. JERZEMU LANGEROWI, KRZYSZTOFOWI GAWĘCKIEMU, HENRYKOWI ZAMOJSKIEMU, ARTUROWI TORONOWSKIEMU i EDWARDOWI TARGOSZOWI.



Na uroczystym absolutorium 5 grudnia dyplomy ukończenia studiów odebrali absolwenci Wydziału Przyrodniczo-Technologicznego. Z wyjątkowym wykładem na temat rolnictwa w sztuce i muzyce wystąpił prof. MARCIN KOZAK, który wraz ze swoim rockowym zespołem („Prof. Marcin Kozak i asystenci”) wykonał też kilka utworów, w tym – ze specjalną dedykacją dla absolwentów – „Pokolenie” zespołu Kombii.



Uroczystość uświetnił występ Chóru Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu pod dyktando ALANA URBANKA, z którym wystąpili także soliści AGNIESZKA PRZEKUPIEŃ i MICHAŁ GASZ.



HONORY



GRZEGORZ DZIK, konsul honorowy Ukrainy we Wrocławiu i prezes zarządu IMPEL SA, otrzymał natomiast „Kryształową Różę”.

Uczelnia została z kolei przyznany medal „Zasłużony działacz Wrocławskiej Rady Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych NOT” za wieloletnią aktywną współpracę na polu nauki i techniki.



Dziekan prof. ADAM SZEWCZUK wręczył także medale za zasługi dla wydziału, a przedstawiciele zaprzyjaźnionych wydziałów innych uczelni i instytucji złożyli na jego ręce gratulacje, podziękowania za współpracę i symboliczne prezenty.



Nie tylko o nowoczesnym rolnictwie

DOBRA WSPÓŁPRACA

Nie ma dzisiaj liczącego się uniwersytetu i badań o globalnym znaczeniu bez współpracy międzynarodowej. Nie ma też międzynarodowych konferencji i staży bez sprawnej organizacji, czasu spędzonego na wysyłaniu maili, odpowiadaniu, potwierdzaniu, rezerwowaniu i zamawianiu.

– EUCARPIA Cereals Section to było ogromne przedsięwzięcie organizacyjne – gości z różnych krajów, różnej rangi, z różną znajomością języków. Przygotowania zaczęliśmy pół roku przed samą imprezą. Już wtedy trzeba było wysłać zaproszenia do gości z Ukrainy, Białorusi, Rosji, żeby mogli wystąpić o wizy – mówi dr SYLWIA LEWANDOWSKA

z Katedry Genetyki, Hodowli Roślin i Nasiennictwa na Wydziale Przyrodniczo-Technologicznym, która koordynowała organizację tej konferencji, ale również wielu innych spotkań w międzynarodowym gronie.

EUCARPIA cieszyła się dużym zainteresowaniem naukowców na co dzień zajmujących się wieloaspektowymi ba-

daniami żyta. Jak podkreślał gospodarz spotkania, prof. HENRYK BUJAK, w ostatnich latach nastąpił imponujący postęp w dziedzinie genetyki i genomiki roślin, w tym również żyta, a na samej konferencji zaprezentowano szerokie wykorzystanie współczesnych osiągnięć genetyki w jego praktycznej hodowli, co ma istotny wpływ na kreowanie postępu

biologicznego tego gatunku. Poruszono kwestie metod hodowli gatunku *Secale cereale*, źródeł zmienności genetycznej, nowych narzędzi molekularnych, odporności na choroby i tolerancji na stesy abiotyczne czy cytogenetyki.

– Zdecydowanie najtrudniejsze jest przewidzenie wszystkiego, bycie gotowym na każdą sytuację, awarię, problem. Albo przynajmniej na większość. Z pewnością ważne są tutaj cechy charakteru, kwestie osobowościowe – trzeba być elastycznym, umieć wczuć się w sytuację innego człowieka. I zachowywać się trochę jak gospodarz na weselu – do każdego podejść, zapytać, zagać. A ludzie są różni, nie zawsze otwarci i gadatliwi od pierwszego zdania. Jednak „zaopiekowani” goście wyjeżdżają zawsze zadowoleni – przynajmniej dr Sylwia Lewandowska, która od kilku lat jest również głównym koordynatorem współpracy wydziału z Niemcami. Znakomicie mówi nie tylko po niemiecku, ale i po angielsku.

– Kiedy robiłam doktorat z nauk rolniczych, pracowałam w szkole jako nauczyciel angielskiego i równocześnie kończyłam zaocznie filologię angielską. A w domu miałam małe dziecko – jak sama dodaje, dobra organizacja czasu i determinacja pozwoliły osiągnąć wyznaczone cele, ale na pewno nie udało by się bez pomocy mamy. – Mama wpoila mi, że na pewnym etapie życia nauka jest najważniejsza. No i ambicja zrobiła swoje.

Na uczelni gościli niedawno prezydent Saksońskiego Urzędu do spraw Środowiska, Rolnictwa i Geologii w Dreźnie – NORBERT EICHKORN, kierownik działu rolnictwa – dr EBERHARD BRÖHL i przedstawicielka działu ochrony środowiska – dr EWA MEINLSCHMIDT. Zwiedzili kliniki i laboratoria Wydziału Medycyny Weterynaryjnej, laboratorium wody i laboratoria Katedry Genetyki, Hodowli Roślin i Nasiennictwa oraz Katedry Ochrony Roślin. Uczelnia od lat współpracuje z urzędem w Dreźnie w ramach wymiany laborantów i pracowników naukowych. Nasi studenci jeżdżą do Niemiec na praktyki, a specjaliści obu stron prowadzą gościnne wykłady u partnera. Pod koniec października BIRGIT PÖLITZ mówiła o szkodnikach rzepaku w Saksonii i o bieżących działaniach

INTERNATIONAL CONFERENCE ON RYE BREEDING AND GENETICS EUCARPIA CEREALS SECTION:

3
dni

26
wykładów

44
prace

111
naukowców

z Niemiec, Kanady, Stanów Zjednoczonych, Rosji, Białorusi, Litwy, Ukrainy, Finlandii i Polski

w tamtejszym rolnictwie, a dr MICHAEL KRAATZ opowiedział o prognozowaniu objawów szkodników i chorób.

Dzięki językowym kompetencjom dr Sylwia Lewandowska była też opiekunem studentów na zagranicznych praktykach w Niemczech: – Studenci rolnictwa i ogrodnictwa co roku wyjeżdżają w czasie wakacji na praktyki zawodowe do Kollitsch i Pillnitz. W 2011 roku pojechałam z nimi, teraz już tylko organizuję takie wyjazdy. Cieszy mnie bardzo, że chętnych studentów jest coraz więcej.

Zawsze wracają bardzo zadowoleni, z głowami pełnymi nowej wiedzy.

Swoje doświadczenia podsumowuje natomiast tak: – Emocje i stres związane z przygotowaniem konferencji czy wizytą zagranicznych gości wychodzą ze mnie po ich wyjeździe, wtedy muszę odpocząć, dojść do siebie, zrelaksować się. Jednak największą nagrodą za tę pracę jest zadowolenie gości i ten moment, kiedy w ostatni dzień podchodzi do mnie szef i mówi „Sylwia, bardzo ci dziękuję, było świetnie”. •



Hospicjum ma wiele twarzy. Jedną z nich jest Milena Dudek

MAŁE NIESZCZĘŚCIA POTRZEBNE DO SZCZĘŚCIA

To z myślą o takich dzieciach, jak 8-letnia MILENKA, zbieramy pieniądze podczas corocznego koncertu charytatywnego. O odwadze i radości, o małych bitwach i zwycięstwach oraz przypadkach, które wbrew pozorom nie są przypadkami, opowiada mama dziewczynki BOGUMIŁA DUDEK.

Milenska ma 8 lat. Uwielbia planszówki. W tym roku pójdzie do I Komunii Świętej. Tak jak inne, zdrowe dzieci. Uczy się zresztą tak samo, jak jej koleżanki i koledzy, tylko że nie w szkole, a w domu. I gra w piłkę nożną. A dokładniej jest bramkarka: razem z bratem Adamem, który kocha sport.

– Jak ich pierwszy raz zobaczyłam na boisku, to mi serce stanęło. Adam z Mileną w wózku biegał od słupka do słupka, bo razem bronili bramki – Bogumiła Dudek ze śmiechem przyznaje, że wcale

jej wtedy do śmiechu nie było, bo już widziała oczami wyobraźni, jak Adam przewraca się razem z Mileną i wózkiem.

– Eeee, bez ryzyka nie ma zabawy, co nie, Milenska?! – sympatyczny 18-latek przytula się do najmłodszej siostry i już staje się jasne, dlaczego ich mama, kiedy czasem coś ją kłuje, coś się w niej tłucze i spokoju nie daje, sięga po niewielką książeczkę w ciemnoróżowej okładce. Z wierszami księdza Jana Twardowskiego, podpisanej jeszcze jej panieńskim nazwiskiem Stokłosa. Jeden jest szczególnie,

bo leczy w chwilach, gdy ręce opadają i nie jest do śmiechu.

– Skserowałam ten wiersz – już po chwili obie czytamy. Bogumiła Dudek z książeczki, która ma 26 lat. A ja z kartki, która ma kilka godzin.

Wiersz „Kiedy mówisz” ksiądz Twardowski dedykował Aleksandrze Iwanowskiej, którą nazywał Oleńką – edytorce jego książek, autorce większości fotografii poety i przedmów, nagrywającej jego wystąpienia na oficjalnych spotkaniach i uroczystościach, łapiącej



myśli ulotne rzucane z potrzeby serca,
by nie odleciały w niepamięć czasu.

„Nie płacz w liście
nie pisz, że los ciebie kopnął
nie ma sytuacji na ziemi bez wyjścia
kiedy Bóg drzwi zamyka
– to otwiera okno
odetchnij, popatrz
spadają z obłoków
małe wielkie nieszczęścia
potrzebne do szczęścia
a od zwykłych rzeczy naucz się spokoju
i zapomnij że jesteś, gdy mówisz,
że kochasz”.

– Kiedy czytam to zdanie: „małe wielkie nieszczęścia potrzebne do szczęścia”, wszystko nabiera sensu – mówi mama Mileny z pewnością, która tylko na pozór zdumiewa.

Kiedy się okazało, że na świecie pojawi się Milena, wzięli najstarszą Kasię, średniego Krzysia i najmłodszego Adasia. Do kuchni, bo to przecież w kuchni bije serce każdego domu. I powiedzieli

swoim dzieciom, że za kilka miesięcy będzie ich więcej w rodzinie.

– Sami byliśmy zaskoczeni ich radością – opowiada pani Bogusia o tym popołudniu sprzed 9 lat. Z iskierkami uśmiechu w oczach dodaje, że Milenka nie była planowana, ale wiedzieli z mężem, że będą czekać na to dziecko z radością.

Urodziła się bez komplikacji. Tylko potem jakaś taka zadziwiająco spokojna była. Zbyt spokojna, na co po kilku miesiącach zwrócił uwagę lekarz. To on zdecydował, że Milenkę trzeba zbadać. U neurologa.

– Pani doktor właściwie nie musiały robić jakiejś ogromnej liczby badań. Obejrzała Milenkę, która miała wtedy trzy miesiące, i powiedziała, że to jest rdzeniowy zanik mięśni. Dała nam skierowanie na badania genetyczne do szpitala. I powiedziała, żebyśmy nie czytali niczego w Internecie o tej chorobie i nie

załamywali się, że najpierw musimy zrobić te badania – Bogumiła Dudek zapytana, co wtedy czuła, odpowiada pytaniem: – A pani co by poczuła, gdyby usłyszała u lekarza, że ma raka? Nic nie czułam. Po prostu była pustka. Dziura. Nic. Zero.

PAN JEST MOIM PASTERZEM. NIE BRAK MI NICZEGO...

Nie rozmawiamy o tym, czy w takich chwilach człowiek czuje złość. Czy wzbiera w nim gniew czy łzy? Czy czuje się winny? Czy nieustannie pyta sam siebie, co poszło nie tak? Czy można było tego uniknąć? A jeśli tak, to w jaki sposób? Nie rozmawiamy o pytaniach niezadanych, bo wtedy po prostu nie było czasu na zadawanie pytań. Pracowali. Prowadzili dom. Zajmowali się trójką dzieci, które przecież musiały codziennie dojechać z Bielan spod Wrocławia

do miasta, do szkoły. Którym trzeba było przygotować śniadanie, obiad i kolację. Spytać o lekcje, choć faktem jest, że do nauki żadnego z nich jako specjalnie nie trzeba było nigdy gonić.

Adam uczył się jeszcze w podstawówce. Sportowej. I trenował pływanie, kiedy okazało się, że tata już nie będzie go wcześniej rano zawozić autem do szkoły, tylko będzie musiał zacząć docierać do niej sam. Dorosłe, odpowiedzialnie, mądrze.

Dzisiaj też nie ma czasu na pytania. Nawet jeśli wiszą gdzieś nad głową. Częściej zresztą pewnie kołaczą się w głowach tych, którzy pierwszy raz widzą Milenkę, ale kołaczą się tylko przez chwilę, dopóki nie poznają jej mamy i nie zagrają z uważnie patrzącą dziewczynką w planszówkę.

Kiedy wchodzimy do środka mieszkania w poniemieckim domu, Milenka leży w jadalni na kanapie. Obok niej, przy ścianie, jest lustro – dzięki niemu widzi, co się dzieje w mieszkaniu, kiedy mama lub ktoś z rodzeństwa położy ją na lewym boku. Jest wieczór. Ale w ciągu dnia Milena jest jak królowa. Leży na specjalnym materacu na stole przykrytym obrusem w różę.

– Ona jest w centrum, a ja dbam o kręgosłup, bo nie muszę się mocno pochyłać, kiedy ją przewijam – tłumaczy Bogumiła Dudek i twierdząco kiwa głową, że tak, wszystkie świąteczne i nieświąteczne śniadania, obiady i kolacje jedzą razem z Milenką. Ona na stole, a oni wokół stołu. Przy tym stole siedzi też Szymon, syn brata pani Bogusi, który dwa lata temu zginął, a którego Dudkowie wzięli do siebie bez chwili wahania.

...WIEDZIE MNIE PO WŁAŚCIWYCH ŚCIEŻKACH PRZEZ WZGLĄD NA SVOJE IMIĘ...

Rdzeniowy zanik mięśni. SMA. Atrofia mięśniowa. Druga po mukowiscydozie najczęstsza choroba uwarunkowana genetycznie. W Polsce nosicielem rdzeniowego zaniku mięśni jest co 40. osoba. Jedno dziecko z SMA rodzi się na 15–20 tysięcy. Na świecie takich dzieci rodzi się rocznie około 1000. Połowa z nich dożywa drugiego roku życia. Milena ma już skończone osiem lat.

O tym, czy dziecko z SMA będzie żyć dłużej niż dwa lata, decyduje między in-

nymi jakością opieki: specjalistyczny sprzęt do odsysania i do wywoływania odruchu kaszlu, by wydzielina gromadząca się w drogach oddechowych mogła zostać odkrztuszona. Dzieci, w miarę postępu choroby, wymagają stałej rehabilitacji, karmienia pozajelitowego i pielęgnacji chroniącej je przed odleżynami. Często są ponadprzeciętnie inteligentne, choć zanik mięśni może – tak jak u Mileny – uniemożliwiać normalne mówienie.

– Trójka pierwszych dzieci jest zdrowa. Rozwijały się wręcz podręcznikowo, więc dlaczego czwarte dziecko miało być chore? W rodzinie bliższej i dalszej też nie ma u nas żadnych chorób genetycznych, więc skąd to SMA? – Bogumiła Dudek opowiada, że czekali na te wyniki badań genetycznych wieczność całą, bo akurat strajkowała poczta. – Właściwie wbrew zasadom, ale ze względu na ten strajk, wyniki podano nam przez telefon. Potwierdziły, że Milenka jest chora na SMA – dodaje po chwili.

Kropka nad „i” przez kolejne dwa miesiące nie zmieniała w ich życiu nic. Lawina ruszyła, kiedy Milenka skończyła pół roku.

– To było zapalenie płuc. Trafiliśmy do szpitala i tam pani doktor otwarcie, ale bardzo życzliwie, powiedziała nam, że we Wrocławiu jest domowe hospicjum dziecięce. I w tym hospicjum powinniśmy wypożyczyć sprzęt, który nazywa się kaflator, wtedy we Wrocławiu w ogóle nie stosowany, a wymuszający u dziecka kaszel – kaflator stoi na stoleczku na wyciągnięcie ręki pani Bogumiły, której córka została osiem lat te-

mu otoczona opieką Fundacji Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci.

W tym hospicjum całą rodziną zostali przeszkoleni, jak używać ciemnoszarej skrzynki. A potem kolejnych urządzeń, które zamieszkały w ich domu. To wtedy czas nabrał nowego wymiaru, wyznaczanego przez zapalenia płuc Mileny, kryzysy mniejsze i większe. I te najtrudniejsze, kiedy stanął w miejscu, gdy lekarka w drzwiach spojrzała na nich i powiedziała: – Musicie się przygotować i pożegnać Milenkę, bo ona umiera.

...CHOCIAŻBYM CHODZIŁ CIEMNĄ DOLINĄ, ZŁA SIĘ NIE ULĘKNĘ, BO TY JESTEŚ ZE MNĄ...

Kiedy kilka lat temu wyszła z ciężkiego zapalenia płuc, choć nikt nie dawał jej szans, mama Mileny wiedziała, że stał się cud. Prawdziwy. I wcale nie ostatni.

– W listopadzie zeszłego roku trafiliśmy do szpitala. Myśleliśmy, że to kolejne zapalenie płuc, ale lekarze badali Milenkę i badali. Nikt nie wychodził, aż w końcu ta lekarka stanęła w drzwiach i powiedziała, że mamy się żegnać, bo Milenka umiera, bo ma sepsę. Jak to żegnać?! – Milla na kanapie w najlepszą grę z chłopakami, wyrzucając kostką szóstkę, ale od czasu do czasu jej spojrzenie ucieka od planszy i zatrzymuje się na mamie, która pół roku temu wcale nie miała zamiaru się z nią żegnać, choć ściągnęła do szpitala starsze dzieci.

Kasia wracała aż spod Krakowa autobusem, z którego nawet nie zdążyła



wysiąć. Pozwolono im wszystkim zostać na noc przy Milenie. Na oddziale intensywnej terapii, gdzie rodzinie pozwala się być już tylko wtedy, kiedy nie ma już żadnego ratunku i człowiek dochodzi do kresu swojej drogi.

– Poprosiłam o księdza z sakramentem chorych, ale poprosiłam też bliskich mi ludzi o pomoc. Jak?

Bogumiła Dudek znów się uśmiecha, choć przecież jej opowieść wcale nie jest do śmiechu. – Zadzwoniłam i powiedziałam, że jest bardzo ciężko. I zaczęły dziać się.

Ksiądz Twardowski pisał:

„Jest taka wdzięczność,
kiedy chcesz dziękować
lecz przystajesz jak gapa,
bo nie widzisz komu”.

Mama Milenki uśmiecha się, bo wie, komu ma dziękować i za co.

– To jest kilka osób, które apel przesyłają dalej. Proszę je o modlitwę i wiem, że ta wspólna modlitwa ma siłę, która czyni cuda – jedna koleżanka była akurat w Rzymie przy grobie Jana Pawła II, druga w Ziemi Świętej. I ja po prostu wiem, że to siła naszej modlitwy sprawiła, że Milenka do nas wróciła. Że stał się cud, choć lekarze nie dawali jej żadnej szansy – pewności w głosie pani Bogusi towarzyszy uśmiech na jej twarzy. Bo to jest najważniejsze: Milenka wróciła, a im nie pozwolono już drugiej nocy spać na oddziale, choć nikt nie wiedział, jak to się stało, że ta mała dziewczynka wcale żegnać się z bliskimi nie zamierza.

...TWÓJ KIJ I TWOJA ŁASKA SĄ TYM, CO MNIE POCIESZA...

Dudkowie są wierzący. Może to wiara daje im tę siłę i energię, która sprawa, że ludzie do nich lgną?

– Ja na studiach zaangażowałam się w Duszpasterstwo Akademickie Redemptor u ojców redemptorystów. Poznałam swojego przyszłego męża i on też związał się z duszpasterstwem. Stworzyliśmy sporą, wyjątkowo zgraną paczkę, w której zawiązało się nawet kilka małżeństw. A jak już skończyliśmy studia, to żal nam było tracić tę wyjątkową więź i postanowiliśmy zaryzykować – tak powstała wspólnota duchowa DAR, z którą Bogumiła i Jacek Dudek są związani od prawie 30 lat, w której działają ich

przyjaciele – ci, do których dzwoni się, gdy trzeba, po ratunek, i z którymi jeżdżą co roku na Boże Ciało na rekolacje.

– Dzieci z nami jeździć nie muszą. Decyzję o dołączeniu do nas zostawiamy im – mówi mama Mileny, a w jej oczach znów widać iskiereki, których pewnie niektórzy jej zazdroszczą.

Przy owocowej herbacie i domowych herbatnikach („koleżanka mi upiekła”) rozmawiamy o pracy polonistki na pół etatu w technikum i o tym, jak Adaś w czwartej klasie zaczął przyprawiać do domu koleżanki i kolegów. I każdy najpierw musiał się przywitać z jego najmłodszą siostrą, a dopiero potem mógł pójść na górę, do pokoju chłopaków.

– Wie pani, to na swój sposób zdumiewające, ale dzieci nie boją się pytać, zaczepiać i dla nich wszystko jest najzupełniej zwyczajne. Jak wychodziłam z córką na spacer, to podchodziły, zaglądały do wózka i pytały, dlaczego Milka nie mówi. Albo dlaczego nie chodzi. Jak latem wychodziłam do ogrodu i rozkładałam koc, na którym kładłam Milenę, to od razu pojawiały się dzieci z sąsiedztwa i po prostu bawiły się z nią, dogadując tak, jak każde potrafi. To my, dorośli, mamy problem, bo nie wiemy, jak się zachować. Wtedy zamykamy się, unikamy innego, uciekamy przed nim – pani Bogumiła co jakiś czas uważnie spogląda na córkę, ale Adam pilnuje nie tylko gry w monopol.

Wystarczy, że Milena da sygnał i już wstaje i włącza ssak albo wyciera jej nos chusteczką. Są jak jeden organizm porozumiewający się bez zbędnych słów.

– Nasze dzieci są bardzo towarzyskie. Dom właściwie jest cały czas otwarty. Z mężem uznaliśmy, że nie będziemy się chować, zamykać na ludzi, ukrywać choroby córki, co się czasem zdarza w rodzinach. I jak się tak zastanawiam, to właśnie otwarcie na innych jest największym darem, jaki przyniosła nam Milenka. Bo dzięki niej odkryliśmy, że tych dobrych, bezinteresownie ofiarnych i otwartych ludzi jest wokół nas bardzo dużo. Nie sądziłam nawet, że jest ich aż tylu – gospodyni strzepuje z obrusu niewidoczny pyłek. – Bo dzisiaj to znajomi przychodzą do Mili. Niedaleko mieszka pani, która jest wolontariuszką, i wpada do nas pograć z nią w planszówki, choćby na kilka godzin. Nauczyciele, bo Milena ma nauczanie

indywidualne, najpierw nie wiedzieli, jak sobie poradzą. Ale jak przyszli i poznali córkę, to zobaczyli, że wystarczy się na nią otworzyć, poznać jej sposób komunikowania się z nami i jest świetny kontakt, który ich samych zaskakuje.

...TAK, DOBROĆ I ŁASKA PÓJDA W ŚLAD ZA MNĄ PRZEZ WSZYSTKIE DNI MEGO ŻYCIA...

Kiedy Milena nudzi się grą, mama bierze ją na ręce. I dokładnie przepytuje z tego, co będzie robić następnego dnia, bo przecież ona rano będzie w pracy. Ta rozmowa tylko w pierwszym momencie wydaje się monologiem, bo nawet przypadkowy słuchacz szybko usłyszy, kiedy Milena mówi „nie”, kiedy jest niezadowolona, a kiedy czegoś nie wie. Czy nauczyciel coś zadał do nauki? Milena wyraźnie mówi, że nie. Czy pamięta, że przyjdzie pani rehabilitantka? Grymas irytacji na buzi Mileny i niechęć w głosie nie pozostawiają wątpliwości: rehabilitacja nie jest jej ulubionym zajęciem i ćwiczenia ze specjalistką uważa za zło konieczne.

Kolejne pytania i kolejne odpowiedzi – i staje się jasne, że Milena ma zdecydowany charakter i własne zdanie na wiele spraw, które dotyczą nie tylko jej.

– Mąż jakiś czas temu zdecydował, że wybudujemy dom, bo jest nam już naprawdę ciasno. Milena nie mieści się w drzwiach i łazience, nie można wprowadzić wózka, bo korytarz jest malutki, a schody wąskie. Więc cały dzień ciężko pracuje w firmie i pilnuje budowy. Ale nawet w takich, wydawałoby się, zwykłych sprawach, spotykają nas rzeczy niezwykle – opowiada Bogumiła Dudek i otwiera niewielką karteczkę, wiszącą na kuchennym kredensie. Takie ozdobne karteczki złożone w pół i przewiązane wstążeczką dołączają się do prezentów – z obowiązkową dedykacją zdrowia, szczęścia i pomyślności w życiu osobistym. Jacek Dudek dostał ją, kiedy poszedł zarejestrować budowę domu w urzędzie. Kobieta, która przyjmowała od niego dokumenty, dała mu kilka słów skreślonych piórem.

– Ani mąż jej nie zna, ani ja, ale proszę przeczytać, co nam napisała – ładne pismo od razu przyciąga wzrok:

„Jeśli Pan domu nie zbuduje,
próżno trzują się ci, którzy go budują”.

I pod spodem:

„Psalm 127 Ew. Mateusza 7.24-27”. •



8 stycznia 2016 r. po raz siódmy na Uniwersytecie Przyrodniczym we Wrocławiu odbył się Koncert Noworoczny połączony z aukcją charytatywną. Po raz piąty dochód ze zlicytowanych dzieł został przeznaczony na pomoc podopiecznym Fundacji Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci.



VII Koncert Noworoczny WARTO BYĆ DOBRYM I HOJNYM



Tego wieczoru szczególnie wyróżniony został MAREK NOWARA, dyrektor firmy Inter-System – za wieloletnią współpracę i wsparcie naszej uczelni otrzymał „Kryształową Różę”.



Rok wcześniej zebrano 58 000 zł, które pozwoliły opłacić 4 miesiące rehabilitacji dla 20 dzieci. Kiedy w tym roku padł rekord – ponad 70 tys. zł – BEATA HERNIK, prezes zarządu fundacji, nie kryła wzruszenia.



U honorowano też MARKA OBSZARNEGO, który już po raz szósty poprowadził aukcję charytatywną. Być może to właśnie odznaka „Zasłużony dla Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu” sprawiła, że był w tym roku wyjątkowo skuteczny.



Za 5000 zł wylicytowana została kielnia, której użyto do wmurowania kamienia węgielnego pod Geo-Info-Hydro, oraz pióro, którym rektor podpisał akt erekcyjny tej inwestycji. „Księgi Jakubowe” OLGI TOKARCZUK, z osobistą dedykacją autorki, wylicytowano za 3000 złotych, podobnie jak fotografię STEFANA ARCZYŃSKIEGO. Obraz ofiarowany przez arcybiskupa JÓZEFA KUPNEGO osiągnął cenę 6000 zł, podobnie jak olej, który na aukcję przekazał kardynał HENRYK GULBINOWICZ. Najdroższa okazała się rzeźba STANISŁAWA WYSOCKIEGO, za którą uzyskano 11 500 zł. Po raz pierwszy wylicytowane przedmioty... wracały do licytacji, by podnieść pulę zebranych pieniędzy.

Wzruszony rektor ROMAN KOŁACZ mówił: – Moja misja jako rektora dobiega końca, mam jednak nadzieję, więcej, mam pewność, że koncerty charytatywne będą kontynuowane.



Gwiazdą koncertu była JUSTYNA STECZKOWSKA. Zaśpiewała m.in. „Grande Vallse Brillante” z repertuaru Ewy Demarczyk, „La vie en rose” Edith Piaf, „Tańczące Eurydyki” Anny German. Słynną piosenkę Edith Piaf „La Foul” wykonała razem z Chórem Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu pod dyrekcją ALANA URBANKA.





12 listopada

Z okazji święta Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu nagrodzono jego najlepszych pracowników. Były odznaczenia uczelniane i państwowe, nagrody rektora, medale za zasługi i dokumenty patentowe. Wręczono również „Kryształową Różę”, którą tym razem odebrali IRENA i MAREK AKSAMSCY. Ich firma AMI od lat wspiera rozwój uczelni i jest jednym z jej najważniejszych partnerów gospodarczych.

15–16 listopada

Wrocławskie uczelnie wspólnie świętowały 70. rocznicę inauguracji pierwszego roku akademickiego w powojennym Wrocławiu. Wyróżniono ostatnich żyjących członków Straży Akademickiej, m.in. prof. RYSZARDA BADURĘ, wieloletniego rektora Akademii Rolniczej, a także uhonorowano pamięć profesorów lwowskich zamordowanych w 1941 roku.



16 listopada

Magister MARTA KONIKIEWICZ, dr TOMASZ TRONINA, dr KRZYSZTOF SOŚNICA, dr WITOLD ROHM i prof. WOJCIECH NIŻAŃSKI (na zdjęciach od góry) – pięciu naszych naukowców z czterech wydziałów zdobyło fundusze na realizację swoich projektów w ramach konkursów Narodowego Centrum Nauki: Opus 9, Preludium 9 i Sonata 9.

19 listopada

Dzięki środkom z Krajowego Naukowego Ośrodka Wiodącego (KNOW) gruntownie wyremontowane zostały laboratoria Katedry Chemii Wydziału Nauk o Żywności, w których powstają znakomite prace doktorskie i wynalazki patentowe.

20 listopada

Centrum Kształcenia Ustawicznego zakończyło projekt „E-podręczniki do kształcenia ogólnego”, opracowując 21 e-podręczników do przedmiotów przyrodniczych. W pokazowej lekcji biologii we wrocławskim zoo wzięli udział uczniowie III klasy Gimnazjum nr 21 we Wrocławiu.



4–5 grudnia

Wydział Przyrodniczo-Technologiczny obchodził jubileusz 70-lecia.



9 grudnia

Dzień Aktywności Studenckiej – po raz czternasty studenckie koła naukowe, kluby i organizacje zaprezentowały swoje osiągnięcia, dokonania, pomysły i projekty. Nagrodzono najlepszych.

GRUDZIEŃ 2015



13 grudnia

DAMIAN KORDAS, 22-letni student weterynarii UPWr, został najmłodszym Master Chefem w Europie!

Działo się...



15 grudnia

Na Gali Sportu Akademickiego 2015 nagrodzono najlepszych studentów-sportowców na Dolnym Śląsku i najlepszych trenerów akademickich w 2015 roku. W kategorii sportu powszechnego nagrodzone zostały mistrzyni jazdy konnej z UPWr: HELLE AAKVA ROER i ALEKSANDRA ADAMOWICZ.



16 grudnia

Na zaproszenie Uniwersytetu Przyrodniczego do Wrocławia przyjechali przedstawiciele różnych ośrodków naukowych, przedsiębiorstw i ministerstw, zainteresowanych obecnością Polski w europejskich wspólnotach wiedzy i innowacji – tzw. KIC.



15 grudnia

Dzięki badaniom nad roztocznymi, którymi zajmuje się, w ramach doktoratu i grantu, HANNA MONIUSZKO, doktorantka na Wydziale Biologii i Hodowli Zwierząt, wygrała konkurs dla doktorantów w sesji akarologicznej na konferencji Amerykańskiego Towarzystwa Entomologicznego.



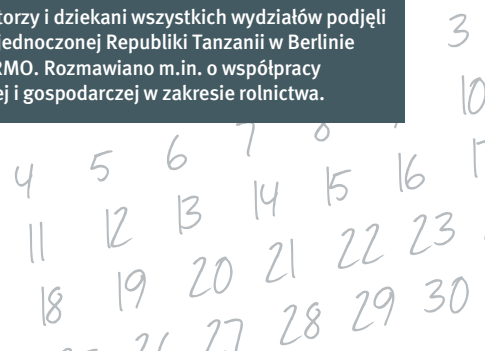
28 grudnia

IV Walne Zebranie Stowarzyszenia Absolwentów UPWr.



17 grudnia

Rektor, prorektorzy i dziekani wszystkich wydziałów podjęli ambasadora Zjednoczonej Republiki Tanzanii w Berlinie – PHILIPA MARMO. Rozmawiano m.in. o współpracy uniwersyteckiej i gospodarczej w zakresie rolnictwa.



8 stycznia

Otworzyliśmy serca i portfele: podczas VII Koncertu Noworocznego i aukcji charytatywnej zebraliśmy rekordową kwotę ponad 70 tys. zł na rehabilitację podopiecznych Fundacji Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci. Gwiazdą wieczoru była JUSTYNA STECZKOWSKA.



21 stycznia

Rektor KOŁACZ spotkał się ze studentami – pasjonatami i aktywistami – na kawie i ciastku. W spotkaniu wzięli udział (na zdjęciu od lewej): JANEK CIESIELSKI, PAWEŁ MIGDAŁ, WIOLA BARSZCZ, DOROTA BIENIEK i DAMIAN KORDAS.

18 stycznia

Studenckie Koło Naukowe Medycyny Zwierząt Egzotycznych „Mephitis” odebrało w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego wyróżnienie w konkursie StRuNa 2015 w kategorii „Konferencja roku”.



22 stycznia

Z myślą o studenckich praktykach, badaniach i zajęciach naukowo-dydaktycznych prowadzonych w terenie Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu nawiązał współpracę z Ogrodem Zoologicznym w Opolu.



29 stycznia

Pięć studentek i dwie doktorantki – najlepsze i docenione przez Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego za wybitne osiągnięcia okazały się w tym roku kobiety. ŻANETA KRÓL, PATRYCJA SZCZEPAŃSKA, DOMINIKA KUBIAK, MONIKA MARĘDZIAK, MAŁGORZATA PONIKOWSKA, KATARZYNA CYTERA i KATARZYNA KORNICKA odebrały gratulacje na posiedzeniu Senatu UPWr.



25 stycznia

We Wrocławiu na zaproszenie prof. TADEUSZA TRZISZKI, prorektora Uniwersytetu Przyrodniczego ds. nauki i innowacji, przebywali przedstawiciele konsorcjum europejskiego, które być może w najbliższych latach decydować będzie o kierunkach rozwoju gospodarki żywnościowej w Europie.



26 stycznia

Pracownia Studialno-Projektowa Instytutu Architektury Krajobrazu zdobyła drugie miejsce w konkursie „Zielone tętnice Wrocławia” na koncepcję zagospodarowania terenów wzdłuż ciągu ulic Legnickiej, Lotniczej i Kosmonautów.



6 7 8 9 10 11 12
 13 14 15 16 17 18 19
 20 21 22 23 24 25 26
 6 7 8 9 10 11 12
 13 14 15 16 17 18 19
 20 21 22 23 24 25 26



3 lutego

Profesor BOŻENA OBMIŃSKA-MRUKOWICZ i prof. KRZYSZTOF PULIKOWSKI zostali wybrani na kolejną kadencję do Polskiej Komisji Akredytacyjnej. – To wyróżnienie, ale i ciężka praca – mówią.

9 lutego

Profesor ROMAN KOŁACZ i dr PRZEMYSŁAW CWINAR zostali unijnymi ekspertami w Europejskim Urzędzie ds. Bezpieczeństwa Żywności. Jej zadaniem jest wspieranie Komisji Europejskiej, Parlamentu Europejskiego i państw członkowskich w wypracowywaniu najlepszych rozwiązań prawnych dotyczących szeroko pojętego bezpieczeństwa żywności.



15 16 17
 22 23 24 25 26

LUTY 2016

10 lutego

Profesor AGNIESZKA KITA, od 2009 r. kierownik Zakładu Technologii Przetworów Ziemniaczanych, od 2012 prodziekan ds. naukowych Wydziału Nauk o Żywności, od 2014 r. najmłodszy profesor na UPWr, została także nowym prezesem Polskiego Towarzystwa Technologów Żywności.



22 lutego

Profesor JAROSŁAW BOSY został wiceprzewodniczącym Komitetu Geodezji Polskiej Akademii Nauk.



15 lutego

Dokładnie 10 lat temu uroczystie otwarto nowy obiekt, jeszcze wtedy Akademii Rolniczej. Wybudowany za prawie 10 mln zł basen przy ul. Chełmońskiego, połączony z istniejącą wcześniej halą sportową, był wtedy jednym z najnowocześniejszych we Wrocławiu.



24 lutego

ANETA WOJDYŁO i ADAM FIGIEL odebrali od prezydenta Polski ANDRZEJA DUDY nominacje profesorskie. Były osobiste gratulacje, dedykacje i życzenia sukcesów.



29 lutego

I Międzynarodowa Konferencja Techniczna Eimeriana Avia była nie tylko forum wymiany doświadczeń najlepszych w Europie specjalistów z zakresu chorób drobiu. Upamiętniono też postać wybitnego awiopatologa, niezjącego rektora Uniwersytetu Przyrodniczego, prof. MICHAŁA MAZURKIEWICZA.

29 lutego

Trzydzieści uczelni, w tym UPWr, powołało Radę Ekspertów ds. Kształcenia Studentów z Niepełnosprawnością. Z naszej uczelni w pracach uczestniczyła dr MARTA CZAPLIKA.



6 13 19 20 21 22 23 24
 29 30 31

4
 1
 5
 2

4 5 6 7 8 9
10 11 12 13 14 15
17 18 19
24 25
31

1 2 3 4 5 6
7 8 9 10 11 12 13
14 15 16 17 18 19 20
21 22 23 24 25 26 27
9 30



2 marca

Rektor prof. ROMAN KOŁACZ tradycyjnie już spotkał się z jubilatami w okazji ich 80., 85. i 90. urodzin.

3 marca

Jest autorem ponad 400 prac naukowych, w tym 150 oryginalnych. Napisał ponad 15 podręczników i monografii. Profesor TADEUSZ TRZISZKA został nowym rektorem Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu.



7 marca

Po 29 miesiącach badań zakończono projekt Biocervin. Efektem jednego z największych i najważniejszych projektów, w którym bierze udział UPWr, są cztery unikatowe w skali światowej prototypy wyrobów medycznych na bazie surowców z komórek macierzystych poroża jelenia szlachetnego.



MARZEC 2016



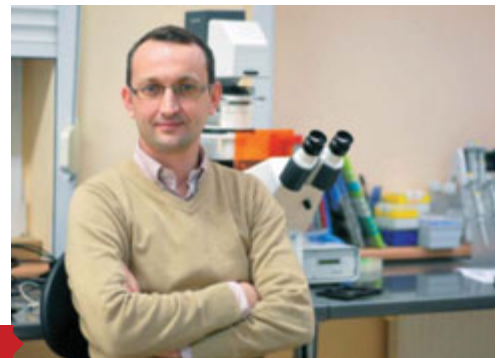
3 marca

Noc spędzona na uniwersytecie to szaleństwo. Ale noc spędzona w doborowym, międzywydziałowym towarzystwie i pochwała studenckiej aktywności – to także przyjemność. Tematem przewodnim VI Studenckiej Szalonej Nocy Naukowej były zmysły.



15 marca

Algi z Bałtyku wzbogacone w odpowiednie pierwiastki śladowe w połączeniu z komórkami macierzystymi, regenerującymi trzustkę, mają leczyć nieuleczalne do tej pory choroby koni. Laboratorium Mikroskopii Elektronowej, którym kieruje dr hab. KRZYSZTOF MARYCZ, zdobyło grant zNCN.



3
10
17
24
25
19 20 21 22 23
26 27 28 29 30

Działo się...



17 marca

MONIKA BRZEŻNA, studentka UPWr, zdobyła brązowy medal podczas Akademickich Mistrzostw Świata na Filipinach.



18 marca

Studia II stopnia na kierunku Odnawialne Źródła energii i gospodarka odpadami oraz studia podyplomowe z technologii winiarstwa zdobyły certyfikat „Studia z Przyszłością” dla najbardziej innowacyjnych i wartościowych kierunków.



22 marca

Zarząd International Society for Animal Hygiene, światowej organizacji zajmującej się dobrostanem zwierząt gospodarskich, zebrał się na Uniwersytecie Przyrodniczym we Wrocławiu.

MARZEC 2016

KWIECIEŃ 2016



31 marca

Elektorzy wybrali nowych prorektorów zaproponowanych przez rektora-elektę prof. TADEUSZA TRZISZKĘ. Profesor JAROSŁAW BOSY, prof. ANNA CHEŁMOŃSKA-SOYTA, prof. ADAM SZEWCZUK i prof. JÓZEF SOWIŃSKI będą zarządzać uczelnią w kadencji 2016–2020.



1 kwietnia

Podczas Drzwi Otwartych przyszli studenci wzięli udział w 33 zajęciach laboratoryjnych i warsztatach, które poprowadzili specjaliści i pasjonaci nauk przyrodniczych, geodezyjnych, weterynaryjnych i rolniczych.

18 19
25 26



4 kwietnia

Na XXII Targach Książki Naukowej Wydawnictwo Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu zdobyło wyróżnienie w konkursie na najtrafniejszą szatę edytorską za książkę RENATY GUBAŃSKIEJ pt. „Założenia rezydencjonalno-folwarczne na Dolnym Śląsku. Możliwości adaptacji do nowej funkcji”.



4
11
18
25
26
27



6 kwietnia

Doktor habilitowany ANDRZEJ MICHALSKI z Katedry Matematyki został przez studentów wybrany największą kosą UPWr. Symboliczny dyplom wręczyli przedstawiciele samorządu.

5 6
12 13
19 20
21 22 23 24 25 26 27
28 29 30

4 5 6 7 8 9
10 11 12 13 14 15
17 18 19
24
31
1 2 3 4 5 6
7 8 9 10 11 12 13
17 18 19 20



14 kwietnia

Hydrolog MIROSŁAW WIATKOWSKI został członkiem Komisji ds. Ochrony Powierzchni Wyższego Urzędu Górniczego.

19 kwietnia

Uniwersytet Przyrodniczy i firma Citronex podpisały umowę o współpracy. Studenci będą mieli gdzie odbywać praktyki, a jeden z największych polskich producentów ogrodniczych zyskuje partnera naukowego.



20 kwietnia

RAMIN MEHMANPARAST, ambasador Islamskiej Republiki Iranu w Polsce, opowiedział na UPWr o specyfice i zaletach swojego kraju oraz przekonywał do współpracy biznesowej i naukowej.



KWIECIEŃ 2016



26 kwietnia

Złoty Chiron dla rektora UPWr – profesor ROMAN KOŁACZ najlepszym propagatorem osiągnięć medycyny weterynaryjnej roku 2016 – uznała Kapituła Nagrody Złotego Chirona.



22 kwietnia

O zdobycie indeksu wymarzonej uczelni walczyli podczas Olimpiady Wiedzy i Umiejętności Rolniczych organizowanej na UPWr uczniowie szkół ponadgimnazjalnych – wśród zadań znalazło się smażenie naleśników, nakrywanie stołu i ocena świeżości jaj.



27 kwietnia

Ochrona środowiska naturalnego i aspekty ekonomiczne wydobycia – nasi studenci i doktoranci na międzynarodowej konferencji w Sankt Petersburgu rywalizowali na referaty. W grupie 300 młodych naukowców z całego świata zajęli drugie miejsce.



28 kwietnia

Doktor habilitowany WITOLD ROHM z Instytutu Geodezji i Geoinformatyki UPWr wyróżniony przez Europejską Unię Nauk o Ziemi, która nagrodziła go za innowacyjny wkład w badania meteorologiczne z wykorzystaniem globalnych nawigacyjnych systemów satelitarnych.



3
10 11 12 13 14 15 16
17 18 19 20 21 22 23
24 25 26 27 28 29 30
31



Grupa Citronex
zrestrukturyzowała przedsiębiorstwo ogrodnicze Siechnice,
które obecnie jest jednym z największych
polskich szklarniowych producentów warzyw
i słynie z wysokiej jakości produkowanych tam pomidorów.



Tuż przy granicy polsko-niemieckiej
wybudowano kompleks szklarni do całorocznej uprawy pomidorów.
Lokalizacja inwestycji nie jest przypadkowa.
To właśnie Elektrownia Turów dostarcza do szklarni ciepło i dwutlenek węgla,
które są niezbędne roślinom do wzrostu i dojrzewania.





OPERA WROCLAWSKA



Hiszpańska noc z **CARMEN** Zarzuela Show

W roli Carmen
Kate Aldrich

Koncepcja spektaklu
Ewa Michnik

Kierownictwo muzyczne
Tomasz Szreder

Reżyseria
Waldemar Zawodziński
Ignacio García

Bilety

Opera Wrocławska
opera@opera.wroclaw.pl
www.opera.wroclaw.pl

eBilet.pl

18 czerwca 2016, godz. 22⁰⁰, Stadion Wrocław